

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 51. Warszawa, dnia 11 (23) Grudnia 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu		na prow. w Cesar. i Królest.	
rocznie	rs. 6 k. „	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie . . .	„ 3 „ „	półrocznie . . .	rs. 4 k. —
kwartalnie. . .	„ 1 „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.	
miesięcznie. . .	„ „ 50	w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.	

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, St.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

BIBLIJOTEKA DLA MŁODZIEŻY.

Widnokrąg literatury pedagogicznej zaczyna się u nas powoli wyjaśniać. Zrozumiano przynajmniej niezmierną ważność wydawnictw mających na celu rozwinięcie władz umysłowych i moralnych pokolenia, które, rozpoczynając swoje ukształcenie wśród niezbyt przyjaznych stosunków, ma jednakże przed sobą nader wielkie i święte zadania. Zrozumiano, że literatura powinna przyjść z czynną pomocą dla rodziców i wychowawców w ogóle. Stąd powstały projekta obszernych wydawnictw z których wprawdzie żadne dotąd programu nie wypełniło, pobudziło atoli umysły, zainteresowało dla sprawy najważniejszej z ważnych. Stąd powzięto zamiar wywołania pożytecznych dzieł wychowawczych drogą konkursu; a chociaż droga ta jak dotąd nie zaprowadziła do celu, znamionuje przecież poważny zwrot w naszych usiłowaniach literackich. Stąd wreszcie następuje reforma niektórych ogólnych organów prasy w kierunku pedagogicznym i powstawanie nowych czasopism.

Wśród tego ożywionego ruchu na polu wychowania nie zapomniano i o skarbach złożonych w literaturze dawniejszej; owszem postanowiono wydać dzieła Klementyny z Tańskich Hoffmanowej we 12 tomach. Sądzimy, że pani Narcyza Żmichowska, lepiej znana pod pseudonimem Gabryjeli, potrafi odróżnić w pismach naszej zasłużonej pracowniczki w winnicy pedagogicznej to, co ma wartość wiekuistą od wpływów, blichtru i uprzedzeń czasowych, i jeżeli nie wyrzuci ustępów drugiego rodzaju, to przynajmniej poda objaśnienia, mogące zneutralizować wiele opacznych poglądów na naukę i ustrój społeczny, od których Hoffmanowa ustrzedz się nie mogła.

Wypadałoby bez wątpienia wejść w szczegóły wydawnictwa tak poważnego i uspra-



Madonna della Sedia. — Z obrazu Rafaela.

wiedliwić ogólne nasze zdanie o słabych stronach Hoffmanowej, zwłaszcza że sąd ten nie nie licuje z powszechnem niemal ogółu przekonaniem; ale ponieważ uwagi nasze nie miałyby już praktycznego celu, gdyż pierwszy tom zbiorowego jej dzieł wydania, ma się 1 stycznia ukazać, przeto zostawiając nasze spostrzeżenia do faktu spełnionego, tam będziemy mogli zdanie nasze umotywować. Tymczasem zaś rzucimy tu myśl, z powodu tego wydawnictwa wynikłą a mianowicie: czyby nie wypadało zrobić wyboru z istniejących już powieści, opowiadań, popularno-naukowych rozprawek i podróży, ułożyć w pewien systemat i wydać zaokrągloną w swej pełni „Biblijotekę dla młodzieży?“

Wychodzą, co prawda, nowe wydania niektórych powiastek lub podróży; lecz one zawdzięczają pojawienie się swoje raczej trafowi niż dobrze obmyślanemu planowi. Co bliższe datą, to się i za lepsze uważa; a tymczasem wiele i bardzo wiele cennych rzeczy pozostaje w ukryciu, dla tego że wyszło z księgarskiego obiegu. Idzie mi głównie o utwory oryginalne, na miejscowych stosunkach oparte, gdyż takie przedewszystkiem na szerokie rozpowszechnienie zasługują. Co z głowy i serca rodaka lub rodaczki wyszło, to głębiej wyryje się w duszy młodzieńczej, wszczepiając w nią miłość gorącą do tego co swoje i bliskie.

Nie wykluczamy przez to bynajmniej dzieł cudzoziemskich, ale tylko twierdzimy, że one winny być stawiane na drugim planie. Gdy już wzmocni się organizm duchowy dziecka a raczej młodzieńca lub dzieweczki, można jej podać obrazy z innych krajów i z innych społeczeństw zdejmowane, ażeby umysł rozszerzył swój horyzont, ażeby poznała naturę i jej przejawy wśród zmiennych okoliczności i stosunków. Wtedy działanie utworów tłó-

maczonych nie będzie szkodliwe, ale prawdziwie pożyteczne. W ostatnich latach zajmowano się dosyć myślą wydawania biblijoteki dla młodzieży; nie ujęto jej jednakże w takim duchu, w jakim staraliśmy się ją tutaj przedstawić. Wiemy o zbiorach Chociszewskiego (w Poznaniu), p. Belejowskiej, i o najnowszym wydawanym przez Hösicka pod redakcyją p. Józ. Grajnerta [1]). Lecz wydawnictwo pierwsze bardzo mało rozpowszechnione a nawet prawie nieznane u nas: zbiorek p. Belejowskiej składa się z samych prawie przekładów i już od paru lat żadnego śladu życia nie daje. O wydawnictwie wychodzącem pod redakcyją p. Grajnerta jako o najnowszem, powiemy tutaj trochę szczegółowiej.

P. Hösick nie ogłosił ani planu swego zbioru ani też kierunku w którym ma być prowadzony. Z konieczności więc w sprawozdaniu naszem trzymać się musimy tych jedynie danych, których nam dostarczają *trzy*, dotychczas wydane książki.

Pierwsza z tych książek p. n. „Dobre dzieci. Zacni ludzie. Szkoła mądrości i cnoty w przykładach z życia rzeczywistego,“ zawiera 143 luźne powiastki, tym tylko od wielu podobnych zbiorów odróżniające się, że są chronologicznie ułożone. Znaczna liczba rycin w tekście a 7 oddzielnie dołączonych ozdabia książeczkę, która w całości swojej dosyć sympatyczne budzi zajęcie, jakkolwiek pod względem obrobienia i stylu bardzo wiele pozostawia do życzenia. Opowiadanie bowiem bez ożywienia i barwności; styl suchy a co ważniejsza nieraz zawikłany i zdradzający na każdym niemal kroku wpływ germanizmu, są naczelną wadą opracowania tej książki. Dla przykładu dość będzie przytoczyć parę urywków: „Pod Mildorfem przyszło w roku 1322 do bitwy, w której Fryderyk przez *swego* przeciwnika został *wziętym* do niewoli. Ludwik wypuścił na wolność *swego* jeńca pod warunkiem, że zaniecha całkiem wojny, zrzecze *się* niemieckiej korony, *zadowoli się* posiadaniem już zdobytych krain i *swoją* rodową godnością, a jego *jako* jedynego cesarza Niemiec uzna“ (str. 39). Czyż to jest język poprawny, łatwo dla dziecka zrozumiały i czy może mu posłużyć za wzór polszczyzny i dobrego stylu? A takich wykroczeń parę na każdej stronicy co najmniej napotkamy.

Prócz wady złego opracowania grzeszy ta książka nadmiarem przykładów z historyi Niemiec, apoteozując takie postaci np. jak Fryderyka II. („Różne dzieje o starym Frycu“ str. 94—99). Powiastki takie mogą być pożyteczne dla dzieci niemieckich, ale nie dla naszych. Czuł to tłómacz i dodał 11 anegdot lub historyjek z dziejów polskich, lecz porównawszy tę szczupłą wiązankę kwiatów swojskich z pękami geermańskiego zielska, trudno nam będzie zalecić książkę dla naszych dzieci... O wieleż lepiej byłoby, gdyby, zamiast uganiać się za nowością i wzorami cudzoziemskiemi, zajrzano do naszych pisarzów i z tworów ich ducha ułożono swojską, skromną ale miłą równiankę. I tak już zanadto hołdujemy cudzoziemczyznie, pocóż jeszcze wpajać w młode umysły wyobrażenie, że tylko zagranicą byli ludzie zacni i że tylko zagranicą o tych zacnych ludziach pisać umieją. Trudno znaleść dzisiaj autorów, którzyby pióro swoje na usługi dzieci oddali — ha, to zwróćmy się do czasów odleglejszych, kiedy okoliczności więcej sprzyjały rozwijaniu się piśmiennictwa dziecięcego.

Druga książka (str. 202) ma tytuł: „Mały i wielki świat dziecięcy. — Zajmująca książeczka dla dzieci“ i jest już bardziej niż pierwsza systematyczną i jakkolwiek cechy luźności nie pozbyła się, objęła atoli pewien zakres wiadomości do rozwinięcia umysłowości dziecinnej niezbędnych. W ramkach zajęć codziennych Stefcia i Jadwini, pomieścił tu autor 60 opowiadań o przedmiotach najbliższego świata dziecinnego. Zaczyna więc od czytania i pisania, opowiadając przytem w streszczeniu popularnem historyją pisma, następnie rozpowiada o tabliczkach łupkowych, o soli i cukrze, o gąbkach, koralach, perłach, owcy, bawełnie, pająkach, jedwabnikach i t. d. i t. d., ciągle rozszerzając zakres wyobrażeń i podając pożyteczne wiadomości. Jestto więc popularna nauka o rzeczach, czyli „nauka poglądowa,“ przydatna zarówno dla rodziców, którzy chcą dzieci swoje małe, jeszcze czytać nie umiejące, czegoś pożytecznego nauczyć, jako też i dla samych dzieci, gdy już podrosną i wiadomości swoje uzupełnić zapragną.

Jak już z powyższego widzimy ta druga książeczka większą ma wartość od pierwszej; ale obrobienie wiele cech dodatnich zatarło i użyteczność dziełka zmniejszyło. Język i styl w wysokim stopniu niepoprawne. Dość będzie następujący przeczytać ustęp: „Świat i *życie* tak *wewnętrzne* jak i zewnętrzne. stoją otworem dla każdego człowieka, dla każdego dziecka a nawet dla *zupełnego nieuka* (sic! czy *nieuk* stanowi odrębną kategoryją ludzi lub dzieci??); ale tylko rozwiniętego umysłu jest udziałem rozpoznanie *wewnętrznych* stosunków tegoż *życia* i upatrywanie *świata w świecie*. Jakże się różni dziecko, które tylko przypadkowo zapoznaje się z przyrodą i objawami *życia*, od tego dziecka, które rodzice lub nauczyciele według *planu* i *celu* wprowadzają w *świat* i *życie!*“ Nie podobna ani ciemniej ani niepoprawniej myśli swej wypowiedzieć.

Oprócz wad stylu uderza nas jeszcze niewłaściwe pomieszczanie rycin, potrzebujących objaśnienia a nie objaśnionych. Tak np. na str. 5 znajdujemy przykład „pisma obrazowego,“ którego najdomyślniejsze nawet dziecko zrozumieć nie potrafi. Podobnież na str. 68 machina Hinkleja do robienia pończoch bez opisu i objaśnień, nie ma najmniejszej wartości.

Trzecia wreszcie książka zatytułowana: „Złota książka. Sławni ludzie w dziedzinie sztuk, przemysłu, nauki i czynów wojennych. Według Karola Brandona, Franciszka Ottona, Hermana Bartha i innych przez K. P. i J. Gr“ — jest najlepszą ze wszystkich. Dzieli się na 2 części. Pierwsza obejmuje życiorysy 14 ludzi wsławionych na polu nauki, sztuki i przemysłu; druga zaś mniejsza, zawiera krótkie bijografije 8 mężów, którzy wojenną zasłynęli sławą. Oprócz jednego Kopernika, którego życiorys i ocenę zasług do najlichszych wypracowań zaliczyć musimy, wszyscy reprezentanci nauki, sztuki, przemysłu i sławy wojennej są cudzoziemcy. I znowu Fryderyk II aureolą opromieniony na przestrzeni 13 stronic! Pomijając jednak te wady, które nad całem dotychczasowem ciężą wydawnictwem, przyznać musimy, że życiorysy kilku znakomitości wybornie skreślone zostały. Do takich liczymy przedewszystkiem bijografije Lincolna, Thorwaldsena, Franklina, Lineusza i Waszyngtona. Dla tych 5 życiorysów można kupić książkę. Inne są albo niedołężnie obrobione, albo suchością dat i faktów najcierpliwszego odstraszą czytelnika. Prawdziwym szkieletem bijograficznym (prócz rzeczy o Koperniku) jest notatka o Napoleonie I. Co więcej spotykamy tu gruby błąd historyczny, który tem jedynie sobie wyjaśniamy, że tłómacz przekładając prace przestarzałe nie spostrzegł się, że sprawy świata uległy zmianie. Jakże bowiem inaczej usprawiedliwić następny wyjątek z życiorysu Napoleona: „Tak więc położono podstawy *konfederacyi reńskiej*, którą zaprowadzono ostatecznie 17 lipca 1806 roku. W skutek tej przemiany, Niemcy miasto 282 państewek składały się, *jak po dziś dzień z 31*“ (sic!!) Tłómacz widocznie nie wie o r. 1866, kiedy rzesza niemiecka rozwiązała się i o 1871 kiedy państwo niemieckie pod hegemoniją Prus powstało.

Oprócz powyżej wykazanych wad grzeszy ten zbiór wielką niepoprawnością wydania. Omyłki drukarskie znajdują się w nadmiernej ilości. Znaki przestankowe używane są fantastycznie, a *kreseczka*, ta charakterystyczna cecha pisarstwa kobiecego; panuje tu jakby w państwie udzielnem. Naprożno młody czytelnik lub czytelniczka pytać się będzie o znaczenie i użycie tej magicznej ingredyjencyi pisarskiej, gdyż niepodobna będzie na jakichkolwiek zasadach oprzeć potrzebne objaśnienie. Tak się podobało fantazyi wydawcy, i na tem koniec.

Dodajmy jeszcze i to, że niektóre ryciny pozostały z niemieckiemi napisami. Tak np. na rycinie do 102 stronicy dziełka „Mały i wielki świat dziecięcy“ czytamy *Frühling, Sommer Herbst, Winter, Wintersolstitium, Sommersolstitium* i t. d. Podobnież na str. 22 wyczytujemy *Honig, Bonbon*. Wydawca nie chciał ponosić kosztów na przerobienie drzeworytów i wolał kopije bez żadnej zmiany. Szkoda, że tak mało dbał o język polski!

Uczyniliśmy powyższe uwagi w interesie dziatwy i rodziców, którzyby bezwątpienia chętnie popierali wydawnictwa pedagogiczne gdyby te słusznem wymaganiom odpowiadały. Uczyniliśmy je również dla dobra samego wydawnictwa, gdyż nie wątpimy, że p. Grajnert, który się podjął jego redakcyi zwróci w przyszłości uwagę na braki, częścią wskazane, częścią w domyślności pozostawione. Cieszymy się z każdego nowego objawu na polu wychowania; ale pragniemy, ażeby te objawy były jak najlepsze, gdyż cel ich ważny nad wyraz. Ladajakie wydawnictwo pedagogiczne jest prawdziwą szkodą wyrządzoną społeczeństwu; nie wszyscy bowiem wychowawcy mogą starannie ocenić dzieła wydawane, lecz bardzo często kupują je i dają dzieciom dla tego, że napis o ich pedagogi-

[1]) Z dawniejszych zbiorów (1863—66) zasługuje na szczególną uwagę: „Biblijoteka dziesięciogroszowa.“

cznem przeznaczeniu uprzedza. Dostają się więc do rąk dziecinnych książki, które mogą sfałszować ich wyobrażenia lub wykrzywić ich uczucia. Nie stosujemy tego orzeczenia w całej jego rozciągłości do książek wydanych przez p. Hösicka; ale mówiąc ogólnie, napomknęliśmy o częściowych wadach, któreśmy poprzednio scharakteryzowali.

Wracamy do myśli przez nas podjętej. Mamy tłómaczone biblijoteki, ale nie posiadamy zbiorku dzieł oryginalnych dla dzieci i młodzieży. Wstyd to dla nas wielki i upośledzenie głębokie. Na polu literatury dla dzieci i młodzieży nie widać teraz talentów któreby wyrównały Hoffmanowej, Jachowiczowi lub Estkowskiemu. Dzieci nasze od młodości przerabiają się na cudzoziemców za pośrednictwem literatury, w której znajdują obce przykłady i wzory do naśladowania.

Rzeczywistość bez wątpienia nie jest tak straszną, jakby się z teoretycznego poglądu na literaturę dziecinną zdawać mogło. To jednakże nie powinno osłabiać znaczenia samego faktu. I owszem dążyć winniśmy do wywołania zdolności w sferze piśmiennictwa dziecinnego; a dopóki to nie nastąpi, postarajmy się o zbiór rzeczy dawniejszych, któreby dzisiejszym wymaganiom odpowiadały. Ażeby zbioru takiego dokonać, potrzeba pracy nie małej. Nie można bowiem uwodzić nazwiskiem głośnem, gdyż to nieraz zawodzi; a choćby nie zawiodło, to nie zawsze rzecz odpowiednia dawnym stosunkom przyda się dla nowych. Tu potrzeba sumiennego zapoznania się z całym obszarem piśmiennictwa dla dzieci ażeby módz odpowiedniego dokonać wyboru. Rzucając tę myśl, nie chcemy na niej poprzestać i zamierzamy niezadługo podać projekt „Biblijoteki dla młodzieży" złożonej z najlepszych utworów dawniejszych. *X.*

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

Pan sędzia był starym bezdzietnym wdowcem, dobrym po staroświecku gospodarzem, prawym, uczynnym i gościnnym człowiekiem. Od pewnego czasu wpadł w głęboki smutek, zniechęcił się do wszystkiego, oddał zarząd domu dalekiemu krewnemu, którego dla imienia mianował swym spadkobiercą. Kobiecy porządek należał do pani Dygalskiej, ładnej, średnich lat, zręcznej, wesołej i dowcipnej kobiety. Pan Jeremijasz, gdy był sam jeden, coraz częściej bolesnej podlegał zadumie: zamykał się w swym pokoju, i zasiadał nad *Tacytem* lub *Skargą*, których odczytywał ciągle, i w coraz głębszą wpadał melancholiję, na co znów gość był tylko jedynem lekarstwem.

Przyszły dziedzic fortuny pana Jeremijasza, pan Jan Chleb, również pieczętował się Leliwą: lubił go za to przybrany dziadunio a i za to także że mu Jan imie było. Pan Jan był jedynakiem, i jako sierota dostał się pod opiekę stryja pieniacza, który przeprocesował i własny i synowca majątek.

Pan Jan ukończył szkoły w Mitawie, i po ostatnim egzaminie wrócił do domu ze starym skrzypkiem panem Schlummermanem, którego mianował wielkorządcą pięciodymowej ojcowizny, a sam wybrał się na uniwersytet.

W tym stanie były rzeczy, gdy pan Jeremijasz powołał Jasia na infanta.

— Mój Jaś to ciasto, mawiał nieraz p. Jeremijasz, ale skąd wziąć drugiego Chleba—Leliwę? Z tego atoli ciasta wytworzył dziadunio młodzieńca co potrafił tęgo harcować na koniu i strzelać w lot jaskółki, a tem ucieszony stary wojak jął się go wprawiać po swojemu do gospodarki, której statut zawierał się w jedynym paragrafie: Więcej niż masz, nie pragnij; to co Bóg dał utrzymaj jak ja utrzymałem, to jest: ziemię uprawiaj dobrze, inwentarza trzymaj multum, ziarna nie przedawaj, zjedz je z poczciwemi i biednemi, a pola dobrze uprawisz i na łąki nawozu stanie. Siej wczas i gęsto, sam zajrzyj wszędzie i często, bo: „Sandomirkę siej, arabczyka miej; dobry bachmat i pszenica, wywodzi z długu szlachcica." Wierz przytem w co ojcowie wierzyli, nie pij jak oni pili. Żeń się pókiś młody i zdrów, o wiano niedbaj, na fartuszku zaś nie siadaj, bo spadniesz pod trzewik.

. . . .

W domu pana Jeremijasza pokój pierwszy obszerny, zastawiony jest do połowy stolikami do kart, a oprócz grających siedzieli widze do koła. Tu i ówdzie kręcą się podżyłe niewiasty, piękności w czepkach i powłosach. Chudzi, tłuści, starzy i młodzi, a tak jednostajni wyrazem albo raczej brakiem wyrazu, że ani weź, żaden nie wraża się pamięci. Grali przed śniadaniem, grali od śniadania do obiadu i znów potem do wieczerzy. Po wieczerzy wszyscy rozeszli się do sypialnych pokojów, znaczna większość znudzona spać poszła, gwarząc o dawnych czasach. Pozostali zaczęli zabawiać się w sztosika. I słońce weszło i herbatę podano, amatorzy jeszcze nie skończyli niewinnej zabawki; aż nareszcie jednym zabrakło gotówki, a inni na kredkę grać nie chcieli. Ale jako ludzie honoru, możebne ulgi nieśli przegranym. Jeden pozwolił odjechać do domu przegranemi końmi i pojazdem. Na mniejsze sumki, godzono się poczekać na słowo. Na większe, brano wprawdzie cyrografy, ale słowem honoru przyrzeczono czekać rok cały na wypłatę. Był jeden, co do lat trzech na 5,000 dukatów czekać się zobowiązał. Znalazł się i taki, co dla przyjaźni, zamiast wygranej przyjął graniczną wioskę mniejszej wartości. Była też zacna kobiecina co miasto mamony zgodziła się wyciąć parę morgów przyległego lasu; dla dogodności sąsiedzkiej, przez pamięć na przyjaźń ze ś. p. matką i ojcem młodzika.

Ale o tych heroizmach nie wiedział pan sędzia; wprawdzie niby nikomu w swym domu nie powiedział, ale nie odprowadziłby żadnego z tych bohaterów do pojazdu, a tuż za nimi posłałby wyzwanie na rękę. Od pana Jeremijasza niebyłoby sposobu ukryć się, chyba pod ziemię, i nie możnaby kieliszkiem ukończyć zgodę. Onby na *reassumpcyją* obciął uszy lub głowę, na *limitę* dałby swego doktora lub pogrzeb sprawił. Do szanownej pani, co las wzięła za gotówkę, wnetby napisał: *Fora z mego dwora.*

W drugim pokoju przy fortepijanie, skrzypkach i flecie, rzeźko tańczono już od dziesiątej z rana. Miły był widok dzielnej, ochoczej młodzi, szczerej wesołości kobiet, i gdyby nie kilka śmiesznych panien marcowej daty, kilku mężatek chorych na panie, kilku młokosów z pretensyjami do posażnych panien, obraz byłby bez cienia.

W innych pokojach siedzieli goście gromadkami, różnej płci, wieku i stanu, zajęci wspólną rozmową. Pan Jeremijasz łączył się najczęściej do młodych i młodniał z niemi. Wracała mu pewna żywość myśli, pierś wzbierała uczuciem jak za onych lat szczęśliwych.

Wśród gwaru trudno było przyjść do ładu, wyszedłem na balkon od ogrodu, i zastałem tam kilkanaście osób poważniejszą rozmową zajętych.

Mówiono o koniecznej potrzebie ludowej oświaty i środkach ku temu; o podniesieniu rolnictwa na stopień nauki; o błędnem kształceniu się młodzi płci obojej do wszystkiego, i — do niczego. O zbytkach, karyjerze, i innych wadach z braku prawdziwego kierunku oświaty wynikłych, a następnie pan Józef rozpowiadał zebranym o Rakiszkach majątku Tyzenhauzów.

— Znam tylko tameczną ziemię, lecz nigdym tam nie mieszkał. Już kawał czasu, jakem po sprzedaniu mej wioski raz tylko był w tej stronie.

Rakiszki, to dobra obszerne, 1,000 z górą dymów liczące, jako wiano po Kroszyńskich, dostały się Tyzenhauzom. Miasteczko drewniane, błotne, wśród równin ciągnących się aż do Baltyku. Kościół parafijalny pod wezwaniem ś-go Mateusza Apostoła, wsparty funduszem przez Aleksandra Jagiellończyka, uposażony nowym darem Zygmunta I-go (1516 r.). Na miejscu dawnego kościoła, Helena Tyzenhauzowa, wojewodzina inflancka zbudowała nowy drewniany (1713 r.). Całą ozdobą miasteczka są murowane bramy i rezydencyjonalny pałac w guście włoskim murowany, z błyszczącą z daleka, białą, blaszaną kopułą; przy nim ogród i park angielski w zaniedbaniu.

Byłem tam raz ostatni za życia jeszcze hr. Konstantego Tyzenhauza, znakomitego ornitologa, alem trafił w parę dni po jego wyjeździe do Postaw gdzie stale mieszkał. Nie mogłem więc zajrzeć do archiwum, ani czego się nauczyć od administracyi, wiedzącej tylko o swych codziennych sprawach.

Ku uczczeniu pamięci szanownego ornitologa, winienem powiedzieć, że miał już wygotowane dwa projekta, których mu śmierć nie dała wykonać osobiście: urządzenie stałych stypendyjów przy akademii sztuk pięknych w Rzymie dla siedmiu uczniów ubogich, ma się rozumieć polaków, i wystawienie mauzoleum Antoniemu Tyzenhauzowi na Horodnicy.

— Lecz powiedzcie panie Józefie, czy p. Zygmunt nie mówił co o Janie Hodoreckim?.. Postać to była wcale niepowszednia, bardzo uwydatniona na chaotycznem tle owego czasu. Pamiętam jak we śnie, tę niską, dosyć szeroką figurę z wysokiem czołem, podniesioną głową, długim, wąskim, spuścistym nosem, ściśnięte-

mi ustami jakby nie puszczały kolącego słowa, co mu się gwałtem z nich wymykało, i błyskało w poważnem lecz ruchliwem błękitnego oka spojrzeniu. Pamiętam go zawsze w granatowym fraku, który łatał w ten sposób, że gdy mu się rękawy podarły, sztukował je połami. Całem jego bogactwem była dubeltówka, wyżeł i sto dukatów jurgieltu. Pamiętam jak mnie woził o lekką milkę za miasteczko, na górę około stu stóp wysoką, pod wsią Maszkańcami, zwaną przez lud *Szwedù pile* (szaniec szwedzki), lub zamkiem królowej Bony. Powiedzcie panie Józefie, coście tam więcej może o Horodeckim słyszeli?

— Był tam ktoś co o nim wiele mówił, wśród imieninowej wrzawy nie wielem dosłyszał, jednak co pamiętam powtórzę.

Horodecki mąż prawy, uczony, magister filozofii wileńskiego uniwersytetu, kapitan wojsk francuskich —urodził się w okolicach górnego Niemna, umarł w Galicyi, lat temu kilkanaście. Świetnie wykształcony, widział często to czego nie widzieli inni, i dla tego uważanym był za dziwaka. Pełen dowcipnego humoru, kolącego nieraz, gdy go nierozumiano w towarzystwie, lubiącem gwarzyć i paplać, nieumiejącem ni mówić porządnie, ni słuchać; radem junaczyć wśród hulanki, żyć poczciwie a bezmyślnie—i drzemiąc czekać aż pieczone gołąbki same spadną do gąbki. Horodecki będąc przez lat dziesięć administratorem dóbr rakiskich, na niedzielnych sesyjach, zebranym z folwarków rządcom, wykładał niektóre przedmioty nauk przyrodzonych, gdy jeszcze popularnych odczytów nieznano w Europie. Było to bowiem około 1821 roku.

— Znałem starszego jego brata Ignacego, gdy wykładał mineralogiję w uniwersytecie Wileńskim, rzekł p. Senadworski.

— Wielem słyszał o dziwnym uroku jaki wywierał był na słuchaczach swoich i mnóstwa dowcipnych o nim anegdot nasłuchałem się w dzieciństwie — odpowiedział pan Józef.

— Wielka szkoda że to tylko po nim zostało. Nie słuchałem jego wykładu będąc na innym wydziale, alem go znał bywając z nim razem w towarzystwie. W istocie dowcipniejszego człowieka nie spotkałem w życiu, a nigdy się tego nie można było spodziewać widząc twarz poważną, nachmurzoną i jak się zdawało, niezdolną do uśmiechu. Słyszałem jak nieraz mawiał, że go na to Pan Bóg stworzył aby wiecznie ucząc się — nic nie umiał a ucząc — niczego nie nauczył. Była to alluzyja do tego fatum, co go zawsze rzucało z przedmiotu na przedmiot. Miał być księdzem, został żołnierzem; potem z rolnika profesorem; miał się żenić, umarł kawalerem. To samo fatum, ścigało go i w uczonym zawodzie. Pan Ignacy ukochał fizykę i powołany do jej wykładu w uniwersytecie, po kilku latach przerzuconym został na mineralogiję. Miał być zwyczajnym professorem—był do śmierci adjunktem. Śniadecki Jan, niezbyt hojny w pochwałach, nazywał Horodeckiego domorosłym genijuszem. Kiedy raz kurator uniwersytetu Ks. A. Cz., wszedł na jego prelekcyją mineralogii, a zachwycony wykładem, po królewsku zapytał — „czego żąda?“— „Nie każcie mi, mości książę teologii wykładać,“ odrzekł Horodecki.

Ci co go znali zbliska, cenili w nim przedewszystkiem nadzwyczajną bystrość i głębokość umysłu, wszechstronność nauki i obywatelskie cnoty. Znał wszystkie europejskie języki, każdym pisał poprawnie, mówił najgorzej, umyślnie przekręcając obce dźwięki na swoje. Zagranicą nigdy nie był, ale kraj własny znał doskonale. Korespondencyje prowadził z uczonymi w całej Europie, po której dotąd krąży o nim wiele dowcipnych żartów i ucinków, często rubasznych, zawsze atoli w miejscu i na korzyść prawdy użytych. Czcigodnej pamięci Ernest Godfryd Grodeck (prof. literatury starożytnej), gdy cierpiał na migrenę, szedł wówczas do Ign. Horodeckiego i zdrowy powracał. To fakt.

Z towarzyszów ś. p. Ignacego nikt już pono nie żyje, lecz są jeszcze jego uczniowie, a żaden dotąd nie wypłacił mu się za czerpaną kiedyś odeń naukę. W rękopismach Horodeckiego znalazłoby się nie jedno zapewne odkrycie, które dziś za nowe w Europie uchodzi; może nasz skromny adjunkt, zabiegł swą myślą w nowy kraj nauki pierwej od mistrzów Zachodu, jak nasz Arciszewski do Ameryki przed Kolumbem?

Horodecki pracował nad historyją krajową. Wiele starych rzeczy własnem widział okiem, pamiętał je doskonale z najdrobniejszemi szczegółami i lubił o nich szeroko rozprawiać. Pisał *Historyją swego czasu i ludzi.* Wiemy to od ś. p. Ignacego Szydłowskiego (prof. emeryta wil. gim.), który znał ten rękopis i za ważny przyczynek do dziejów uważał.

Powiadają, że rękopis w przedmiocie fizyki, był w bibliotece uniwersytetu; rękopis drugi, albo tam się także dostał, albo przeszedł spadkiem do rąk familii zmarłego profesora. Ci, którzy mogą o tem wiedzieć lub się dowiedzieć, powinni mieć za święty obowiązek złożyć prace Horodeckiego pod straż publicznej wiedzy, oddać je do jakiej publicznej biblijoteki, nim w swoim czasie ujrzą światło dzienne.

— Wieleż to prac szanownych, w które wsiąkło całe życie człowieka kochającego naukę, zaginęło bez śladu bądź w ciemnocie spadkobierców, bądź w szarugach losu macoszej natury, rzekła pani Senadworska.

....Kilka lat temu byłam u mojej krewnej na świętach wielkanocnych. Wśród zwykłych kuchennych tertesów, gdy przyszło do najtkliwszej sercu gospodyń chwili, do pieczenia babek, przyniesiono stos zapisanego w arkuszach papieru na obłożenie rądlów i pod placki. Patrzę, aż tu początek jednej, tam koniec drugiej pieśni, ówdzie znów proza bez początku lub końca. Pytam kochanej gosposi co to za rękopis? Ona odpowiada z westchnieniem:

— To pisaniny mego nieboszczyka Karola. Daj mu Panie światłość niebieską. Ach! jak on pięknie pisał. Zapędzał córki do fortepijanu, sam śpiewał aż szyby się trzęsły: jak co śmiesznego, to wszyscy pokładają się ze śmiechu; jak co smętnego, wszystko ucichnie a mężczyznom nawet łzy się po oczach kręcą.

Miał on swoje wady, ale któż bez nich? W pierwszych latach pożycia bardzo był stały, potem zaczął trzpiotać się trochę; kochałam go i byłam zazdrosną; on na przekorę trzpiotał się więcej. Miasteczko niedaleko, więc przyjaciół wiele; język miał wyprawny, serce najlepsze, lubili go wszyscy. Każdego bywało czwartku wyjeżdżał na targ. Obsiądzie go czereda, gadu, gadu, ktoś buteleczkę podsunie, i do gągaweczki się przyuczył. Ale co tam gadać, rozumny był człowiek; interesa dobrze prowadził, gospodarka szła jak po maśle, a teraz muszę się nukać z tą niesforną hałastrą, i doprawdy nie wiem jak sobie poradzić.

Znowu zapłakała pani Karolowa i chciała wyliczać wszystkie swe gospodarskie kłopoty, gdym zwróciła jej uwagę na rękopism.

— A no to tak było: — Nieboszczyk lubił bardzo gości, a ja nie od tego też byłam. Karol wstawał zawsze rano, wszędzie zajrzał, zadysponował; a choć był gorączka, miał szczęście do ludzi, bo był hojny i sprawiedliwy. Otóż gdy bywało wszystko obejdzie a gości nie ma, stuknie kieliszek starki, zapali krótką luleczkę, ja śpię jeszcze, on siada i pisze.

Czy co się zdarzy w sąsiedztwie, czy dalej, czy co ciekawego posłyszy, czy co przypomni z obozowego życia, czy sobie wymyśli — jak tam dajmy na to ryby kłócą się z rybami, ptaki biją z ptakami, zwierzęta ze zwierzętami, to zaraz u niego rośnie to piosnka, to krakowiak, to bajeczka, ale satyr najwięcej pisał. Prędko na papierze rosło, prędzej niż moje babki! i sam mówił, że jego pisanie jak babka, czasem się uda, czasem wyjdzie z zakalcem. Czasem gdy w nocy spać nie mógł, to zabierał się do pisania; a słowików bardzo lubił i całą noc chętnie ich słuchał. Broniże Boże, nadejdzie burza, że psa wypędzić nie można, on, jak potępieniec, panie odpuść! czy to zimą czy latem, błąka się po kilka godzin na dworze. Gdy powróci, trzęsie się jak osina, przemienia odzienie, zapala fajkę, siada i pisze gdy wszyscy spać pójdą.

Bogu dzięki, przeżyliśmy z sobą jeszcze lat siedm po srebrnem weselu. Bywało różnie, nieraz człowiek narzekał, ale jak go niestało, to codzień czuć że go nie ma.

Znowu rozpłakała się pani Karolowa rzewnemi łzami, nim dała się zwrócić na przedmiot mojej ciekawości.

— I my się rozpłaczemy, rzekł mąż do żony z uśmiechem, jeśli dobrodziko każesz nam w cebrze wody łapać ziarnko treści, rzucając nam trzęsiankę słów swojej krewnej i pojąc jej łzami.

— Albożem nie kobieta? — Chciałam popisać się z moją pamięcią. Gdy tego nie umiecie ocenić, powiem resztę krótko i sucho.

Pani Karolowa, podług rady swych opiekunów i plenipotenta, zebrała wszystkie rękopisy mężowskie. Plenipotent w obec opiekunów, zeszył je bardzo porządnie w jednę grubą księgę i wdowa nie czytając, powiozła towar do księgarza. Księgarz pakę obejrzał, zostawił u siebie do jutra, nazajutrz odniósł i rzekł że teraz wiersze nie popłacają a proza potrzebuje poprawek. Cały rękopism nieporządny, wymaga wiele roboty i kosztu, aby go przygotować do druku, z tem wszystkiem wydać go gotów swoim nakładem byle mu 300 rubli dopłacić. Wydrukuję 500 egzemplarzy: sto oddam pani, a pani wyda mi upoważnienie na dalszy przedruk i wyłączną własność....

Rękopis wrócił do domu i zaległ miejsce w szafce z naczyniami.

Pytam pani Karolowej, czyż jej nie żal pod pierogi używać mężowskiej pracy?

— Gdzież tam nie żal? odrzekła łzy ocierając rzęsiste. Póki żył Karol o nic mnie głowa nie bolała, był porządek; było papieru ile zechcę, teraz ani arkusza, muszę więc z płaczem robić co robię... Codzień modlę się za jego duszę, toż jego na tamtym świecie, nic już nie obchodzi; a jeśli obchodzi przebaczy mi z pewnością. Kochał przecież i nas i sąsiadów, co spożyjemy te pierogi na jego rozumie pieczone. Ach! świeć Panie nad jego duszą! O niczem ongi człowiek nie myślał, teraz nie ma kawałka nieraz papieru.

Rozwiązałam rzecz pomyślnie. Czternastoletniego siostrzanka wysłałam do miasteczka po papier, a cały zeszyt z niedodartych kart złożony w zamian zabrałam i już nie pójdzie pod placki, w pewniejsze ręce oddany.

— Któż to był ten pan Karol? zapytał p. Józef.

— Rodem z nad Dniepru. Kandydat filozofii wil. uniwer. porucznik z pod Waterloo, ze znakiem legii honorowej. Poczciwy trzpiot, dobroduszny gaduła i bibuła. Prawy we wszystkich stosunkach życia, lubiony od małych i wielkich; umiejący tylko kochać i nienawidzieć, mścił się pogardą lub dobrym uczynkiem. Znał wartość książek, ale ich nie czytał; raz dla tego że czytającego ogarniała zazwyczaj drzemka, a powtóre, że znajdując w druku inny styl i wyrazy inne niż te jakiemi mówił w swej okolicy, gniewał się na autorów za zepsucie mowy i nie jednę satyrę na nich napisał.

Jako poeta, miał niepospolity talent bajarza i wielką łatwość wierszowania, którą nieraz sztukował natchnienie, mianowicie w bajkach, satyrach i pieśniach przygodnych parafijalnej treści. Gdzie treść wyższa, tam mu zawsze towarzyszy natchnienie. Nie jeden utwór wart druku jako talent, więcej jako materyjał dziejowy. Proza zawiera pamiętniki z czasów szkolnych, uniwersyteckich i wojskowych, w stylu Paska. Są tu rzeczy bardzo ciekawe, są nawet szczegóły biograficzne skąd inąd nieznane. Szkoda że wiele kart niestaje w rękopiśmie, przerwane są wypadki nader interesujące historycznej treści.

Szkoda panie Józefie żeście mało znali pana Karola Szumiłę.

— Raz go tylko widziałem, lecz wiem że na lat kilka przed śmiercią stetryczał zupełnie. Opowiadał mi o nim dawny jego sługa Sylwester, który po śmierci pana służył u sędziego Chleba. Chcąc się napić wody zaszedłem do kuchni i tam Sylwestra poznałem. W kuchni pełno było lokai ubranych jak Bóg dał, a lokaj modnego ze szkiełkiem panicza odezwał się rozparty:

— Chcecie gapimuchy, nauczę was w sztosika; zagramy bo mam pieniądze, i pokazał wypchany papierami pugilares.

— Patrzaj go, jaki pan! — odrzekł chłopiec w szaraczkowej kurtce.

— Zapewne że pan, większy od was! Ja służę u bogacza, jeżdżę po dworach wielkich, u nas to panie pałac! Biały jak śnieg! A cacek, to w nim jak śmieci!



Droga na granicy Rossyi i Chin.

— Wielka rzecz, odrzekł jakiś w surducie granatowym staruszek, a wiesz, gdzie domy białe tam ludzie czarni.

— Sam nie wiesz co gadasz! U nas i pałac biały i ludzie bieluteńcy.

— Jak ser od roku, nieprawdaż? Lecz cóż twój panicz w domu porabia? zagadł kredencerz Sylwester.

— Co porabia? Bawi się, umizga, czasem choruje kiedy nudno.

— Aha! Wiem że choruje, słyszałem jak raz śmieli się w jednym dworze, jak mówili że choruje na pana.

— Cóż to za choroba? zawołało kilku lokai.

— Powiem wam jeżeli chcecie, bo przez długie życie napatrzyłem się wiele. Gdy kogo ta choroba ogarnie, nadyma się jak bąk, brzęczy po francusku, patrzy z góry na wszystkich: a kiedy kto doń zajedzie bryczyną lub w kałamaszce, to gada przez nos, udaje ślepego, czasem głuchego, kiedy zaś pozjeżdżają się w koczach i karetach, to wtenczas zdrów zupełnie.

Ta choroba okrutnie boi się wierzycieli; gdy nadjadą, albo ucieka z chorym do łóżka, albo chwyta go za kark i za nogi, że chory ciągle głową kiwa i nogami w tył szarżuje, i nieodstąpi przeklętnica, aż kredytorowie siądą do pojazdu, choćby do kolasy.

A jak przyjdzie termin opłaty służących, choroba trzęsie całem ciałem jak febra; rzuca na stół, zamiast pieniędzy rachunek szkód poczynionych, z życzeniem szczęśliwej drogi, a jako łaska, dobre świadectwo uczciwej służby, dla szukania innego losu.

— A Jezus! jaka to choroba, mówili wszyscy. Niech ją kaczki zdepcą! To ta choroba musi być od dyjabła, kiedy wozi do ciała i rogami stuka.

— A to go święconą wodą pokropić, zawołano z tłumu.

— Oj nie wodą, ale miotłą, wrzasnęła śmiejąc się rzesza.

Sylwester spostrzegłszy mnie na progu uciszył hałaśliwą rzeszę i zapytał co rozkażę? Przyniósł mi potem karafkę wody z cytryną do altany, gdziem na nią czekał; a jako rad do gawędki, rozpowiadał dawne czasy u p. Karola, i twierdził wzdychając, że głównym powodem jego hypokondryi była zazdrość żony. Nie powtarzam humorystycznej Sylwestra relacyi, bo to szczegóły zbyt powszednie, tylko jaskrawsze niż u zwykłych ludzi, i niby nie dodały do charakterystyki człowieka, jaką nam skreśliła pani Senadworska.

Gdy skończył na tem pan Józef, zawiązała się żwawa rozprawa o przyczynach upadku wyższych ludzi wśród niewłaściwego im żywiołu, jakby słoni w klatce. Większość kobiet oburzała się na płoche obyczaje pana Karola, szanując w żonie zazdrość, jako dowód miłości; mężczyzni utrzymywali, że właśnie zazdrość żony była płochości męża przyczyną. Lecz gdy dwie poważne kobiety nazwały zazdrość brakiem uszlachetnionej miłości, opartej na zaufaniu bez granic, ustąpiły oponentki na wpół przekonane. Gdy obrońcom pana Karola ktoś dowiódł, iż żaden powód nieusprawiedliwia zupełnie, świadomego grzechu, zgo-

dzono się, że ludziom wyższym mniej się przebacza każdy występek; bo komu więcej dano, więcej też od niego potrzebuje Bóg i ludzie.

Był czas kiedy do przywileju poety lub artysty, wpisywano dyspensę na samowolę życia i obyczajów. Zabytek to średniowiecznej doby ludzkości, kiedy falowanie z jednego brzegu ostateczności na drugi, było koniecznem zjawiskiem dziejowej godziny. Do nas duch wieków średnich spóźnił się znacznie, błąkał się jeszcze przez całe ubiegłe stulecie pomiędzy nami, błąka się i dotąd chorowitym krokiem, nie mogąc widomie przerodzić się w ducha harmonii wśród warunków przeciwnych. Wprawdzie łatwiej żółw niż orzeł na miejscu usiedzi, lecz gdyby jednemu i drugiemu dano jednaki rozum ludzki i miłość wyższych dążeń życia, umiałby jeden i drugi przemódz swą naturę i skierować jej siły ku wspólnej harmonii, na korzyść wspólnego dobra wszystkich.

Wezwanie na spoczynek przerwało rozmowę i rozeszliśmy się zapraszając pana Józefa do dalszego opowiadania na jutro.

XIV.

„Czyś ludzi nie znał, czyś tak rozumiał nieboże,
Iż róża inny owoc niż ciernie dać może?“
Jan Kochanowski.

Nazajutrz przy śniadaniu, gospodyni domu upomniała się u pana Józefa o dalszy ciąg spowiedzi imieninowej, zapytując czy nie spotkał w liczbie winszujących, pana Barnabę Gryffa, słynnego z dowcipu i wesołości.

— Spotkałem go ale wesołym nie był, od śmierci bo brata Daniela, rzadko się kiedy uśmiecha, stracił w nim przyjaciela i wyższych nadziei człowieka.

— Alboż umarł ten śliczny, kochany Daniel? zapytało kilka głosów....

— Rozbił się na falach serca.

Będąc przeszłego roku w Wilnie, zapytuję znajomych, co to jest że nigdzie nie spotykam Daniela, mego niegdyś szkolnego towarzysza i dowiaduję się o jego nieszczęściu.

Kochał się w pewnej pannie, bywał u jej rodziców, ale nigdy nie mówił o swoich uczuciach, kochał się i milczał. Panna miłem na niego strzelała oczkiem, rodzice byli grzeczni, choć wielka, w ich mniemaniu, dzieliła go od nich przestrzeń: bo on był biedny urzędniczek, oni bogaci pp. radcostwo!? Czemuż jednak nie być dlań grzecznym? Pilny w obowiązku, i pan naczelnik śmiało spać przy nim może, dobry, darmo uczy synalka po francusku, młodszą córeczkę rysunków i muzyki; dla starszej zaś pisze piękne wiersze, a takie skromne, o miłości i mowy w nich nie ma, że je sam papunio na głos przy gościach odczytuje.

Raz tylko panna Sylwija nieco się nachmurzyła nie chcąc mu odpisać, gdy ją kategorycznie zapytywał o zdanie względem nowego utworu wielkiego wieszcza. Odpowiedziała: że nudne zapytania o sen ją przyprawiają, a i bez tego spać się jej chce po balu, na co Daniel odpisał:

Śpij słodko mój aniołku, prześpij błogie chwile,
Niech sen, wierny twój obraz, usypia cię mile;
A szczęsna w sennej marze, myśl żeś tu stanęła,
Żeś przejrzała na moment, i — znowu zasnęła.

i nazajutrz nie przyszedł na zaproszoną herbatę. Kwaśny papa zgniewał się na córkę, że widocznie jakiem go nie uważnem słówkiem obraziła i rzekł bez ogródki: Pannie należy być dla każdego grzeczną, z hołyszami się nie wdawać w poufałość; bogatych trzymać w odwodzie, dopóki rodzice czego pewnego nie ułożą. Ujmować wszystkich, aby rodzicom i sobie nieprzyjaciół nie stwarzać...

Panna Sylwija nie gniewała się za tę przestrogę na ojca, bo też i sama żałowała swej nierozwagi. Chociaż poeci najnudniejszemi są kochankami dla każdej pospolitej lub zwietrzałego serca kobiety, potrzebni są przecie jako najlepsi słudzy do każdej ofiary; a przytem straszni, jako piszący wiersze, i mogący coś niemiłego wydrukować. Takie myśli zreflektowały pannę Sylwiję, która postanowiła.... — przeprosić pana Daniela? przerwały kobiety...

— Nie; jego owszem zmusić do przeproszenia siebie...

Pan radca zawezwał nazajutrz pana Daniela do siebie z urzędu, poszedł do gabinetu po jakieś papiery, a w tem podano śniadanie, więc przyszła i panna Sylwija. Po śniadaniu nastąpiła kcyja muzyki i rysunku, po lekcyi obiad, po obiedzie papunio włożywszy szlafmycę udał się na spoczynek, mamunia podała rękę panu Danielowi i poszła z nimi do ogródka a potem służąca zaprosiła znów mamuni do pokoju. Sylwija została z Danielem i dowiodła mu najoczewiściej: że jest człowiekiem gwałtownym, nie mającym żadnego dla niej szacunku, nie delikatnym bo się nie poznał na niewinnym żarciku, którym go chciała zabawić i rozśmieszyć. Daniel uznał swą winę i pokochał Sylwiję bardziej jeszcze gorąco.

Daniel pojechał na wieś, wezwany przez znajomych na rozsądzenie familijnego sporu; zachorował tam z przeziębienia, ratując tonące dziecię z listopadowej wody. Po trzech miesiącach powrócił do miasta i dowiedział się o zamążpójściu Sylwii. Wiadomość tę przyjął spokojnie, nawet z pewną radością, myśląc że oddała serce i rękę artyście, którego za mistrza uważał, ceniąc w nim wysoką szlachetność duszy, naukowe wykształcenie i talent olbrzymi. Niedługo trwało złudzenie, artysta dostał odkosza, ustępując miejsca farbowanemu wdowcowi o świetnej karyjerze, z niemałym groszem i wielką protekcyją.

Nazajutrz po tej wiadomości przyszedł Daniel do biura, pracował zamyślony i blady, jakby z krzyża zdjęty. Wyszedł pierwej niż wychodził zwykle, i tegoż dnia, pod wieczór był już w szpitalu waryjatów. Tam go widziałem. Spokojny—nie poznaje nikogo, tylko martwem okiem patrzy w niebo przez kratę. Znalazłem go na łóżku narzuconem słomą, siedział skurczony, podparty ręką, prawie nagi, przyrzucony jakimś szpitalnym łachmanem. Nie poznał mnie, nic nie odpowiadał na moje zapytania.

— Sylwija ci się kłania, rzekłem.

Zatrząsł się cały, mocny rumieniec oblał twarz wyżółkłą, nie zmienił jednak spojrzenia, tylko źrenica sucha, trupia, zwilgotniała nieco, zbiegła w dół oka jakby łzy szukała, a nie znalazłszy jej zwróciła się znowu nieruchomo ku niebu.

— Sylwija umarła! ozwał się tym razem: Zadrżał, otworzył usta i powiedział zwolna: Ha... to i mnie... czas... umierać...

Potem wpatrzył się we mnie, jakby mnie poznawał i rzekł wyciągając rękę: od kilku wieków siedzę tu zaklęty, od kilku wieków jej nie widziałem. Ostatni raz, pamiętam, było to w Babilonie u Baltazara; ona pierwsza spostrzegła ogniste na ścianie litery: *Mene, tekel, upharsin*! Nie, nie! to było u Lukulla. Nie, nie! to było w Persepolis, ona rzucała rozpalone głownie w Daryjuszowe komnaty. Było to roku... roku... 18... Co ja plotę? To nie za naszej ery. Plączę mi się w głowie. Czym ja wary at czy co?...

Pochylił głowę, jakby coś chciał sobie przypomnieć, potem nagle zapytał:

— Kto ty? Uciekaj! Ty nie wiesz żem straszny jak rozpacza krwawy jak zemsta. Jestem Daniel we lwiej jamie, braknie mi tylko cudu. Zamiast lwa siedzi ze mną krokodyl. Ach! jaki piękny: włos jasny, oczy ciemne, usta różowe dziwnego uroku. Nie, nie! to ona, gorsza od krokodyla!...

Znowu zamilkł, i rzekł znowu:

— Wiesz ty, rodzice przedają swe córki, jakby towary, jak jagody na nowaliją. Wiesz kto je kupuje? Oto ci, co prócz pieniędzy nie mają innej wartości. Niedawno Sylwiją kupili. Ślub nie był w świątyni bożej.

— Więcgdzież? zapytałem.

— Tam! tam, w Marokko, na rynku, gdzie przedają niewolnice, gdzie targować się wolno, nabył ją kupiec bogaty, ubrał w brylanty, zawiózł do Stambułu. Zginęła na wieki! zgubiła duszę na wieki! Na wieki, na wieki!

To mówiąc padł na wznak na łóżko i legł jak nieżywy. Na głos stróża, którego lękał się bardzo, otworzył oczy, usiadł na posłaniu, bił wyschłemi nogami o ziemię, ręce założył na głowę i mówić zaczął powoli z dzikim, tłumionym uśmiechem:

— Teraz przybyła nowa patronka: święta *karyjera!* święta *karyjera!*

Porwał się nagle i zaczął skakać po izdebce, śpiewając płaczliwym głosem:

Nowa patronka święta karyjera.
Kto jej czcić nie chce z nędzy umiera.
Z nędzy umiera!
Z nędzy umiera!

W tydzień potem Daniel już nieżył a ludzie dobrzy modlili się za duszę.... waryjata.

(d. n.)

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Kozienice, dnia 12 grudnia 1875 r.

W kolumnach „Opiekuna Domowego,“ nie zadrgnął po dotąd puls Kozienickiego powiatu, rzuconego na kraniec gubernii Radomskiej, i oddzielonego naturalną granicą wspaniałej Wisły od gubernij Lubelskiej i Siedleckiej.

Ta granica na wiosnę i lato przybierając po większej części straszliwe rozmiary, sieje z jednej strony zniszczenie, z drugiej zaś jakby

wynagradzając splątany figiel, szczodrym na rok przyszły obdarza nadwiślanina plonem.

O tej wspaniałej grymaśnicy podrywającej lądy lewego brzegu, brzemiennej raz w straszliwe głębie, drugi w zmieliska kształcące się z czasem na wyspy, pobierającej rok rocznie daninę w topielcach i dźwigającej na pienistej powierzchni ładowne statki, pogawędzę z wami tymczasem, nim dotknę innych wiadomości społecznych, tutejszych mieszkańców dotyczących.

Wisła przepływając przez powiat Kozienicki, dotyka dziesięciu gmin tegoż powiatu, a mianowicie gmin: Góra-Puławska, Oblassy, Gniewoszów-granica, Sarnów, Sieciechów, Brzeźnica, Kozienice, Świerze, Trzebień i Rozniszów.

Dla zabezpieczenia obszernych i urodzajnych nizin, otoczoną jest wałem ochronnym, zbudowanym przed dosyć dawnym czasem od wsi Góra-Puławska do wsi Świerze, na przestrzeni werst 56-ciu. Wał ten utrzymywanym jest w porządku siłą gmin, tak zwanej Kozienieckiej doliny, i rok rocznie jest przedmiotem narad, ustanowionego na ten cel komitetu, w skład którego wchodzą: właściciele gruntów dotykających Wisły, wójci gmin na Powiślu i ze strony rządowej naczelnik powiatu i inżenier, będący naczelnikiem drugiego dystansu, wspomnionej rzeki.

Zbawienny wpływ wału, jaki okazał się w skutkach przy ostatnich wylewach, zachęcił włościan niektórych wsiów gminy Rozniszów, do budowy takiegoż wału, około wsi Wilczkowice dolne, i w tym celu prosili władzy o dozwolenie im budowy. W roku bieżącym odpowiednia delegacyja na gruncie stosowne sporządziła protokóła, które jako przedwstępne działania, przedstawione gdzie należy zostały, i obecnie wyrabiają się stosowne projekta techniczne; miejscowość nazwano Magnuszewską doliną, zawiązano komitet, i takowy wprowadzono w życie.

Podrywanie lądów przez Wisłę, zwracało zawsze czujną uwagę rządu, uregulowanie zaś żeglugi na tej wspaniałej rzece, jest przedmiotem nader ważnym i interes tutejszego kraju obudzającym; już nawet b. rada administracyjna królestwa wchodząc w położenie rzeczy, na zmierzenie Wisły, zdjęcie nowych planów, niwellacyją, postawienie słupów werstowych i t. d., postanowieniem z dnia $^3/_{15}$ maja 1858 r. udzieliła rs. 12,000, i rzeczywiście w skutku takiego postanowienia, były robione pomiary Wisły, która podzieloną została na wersty, plany wylitografowano większe na podziałkę 1: 10000, mniejsze na podziałkę 1: 40000, które dziś służą do wszelkich projektów hydrotechnicznych. Przy pomocy słupów werstowych, służba inżenierska sprawdza brzegi, śledzi zmiany w korycie rzeki, wnosi takowe na plany i kontroluje skuteczność robot, co bez tych znaków byłoby rzeczą trudną, a częstokroć w danej chwili i niepodobną.

To co jednak dotąd zrobiono, przy niestałości koryta, okazało się niedostateczne. W roku bieżącym z polecenia pana ministra komunikacyj, wyznaczoną została partyja nawigacyjno-opisowa rzeki Wisły, pod przewodnictwem inspektora XI okręgu komunikacyj inżyniera p. Kostenieckiego. Zadaniem partyi było dokładne zbadanie koryta rzeki, i zebranie wszelkich dat i danych statystycznych, dotyczących tak samego koryta rzeki jako drogi komunikacyjnej i spławu czyli ruchu na tej drodze, wreszcie rozwoju ekonomicznego i społecznego przybrzeżnych mieszkańców.

W tym celu rozpoczęto nowe pomiary i niwelacyje całej doliny rzeki, aż do linii najwyższych zalewów — sporządzono profile koryta rzeki, z oznaczeniem kierunku głównego nurtu przy rozmaitych stanach wysokości wody, wymierzono ściśle największe głębiny koryta, zmierzono wszelkie mielizny, kępy i odstępy, ze ścisłem również zbadaniem takowych co do natury pokładów, z których się utworzyły, zmierzono wysokość tychże nasypów; nakoniec zebrano i zanotowano wiadomość co do punktów najodleglejszych, do których woda w razie praktykowanych dotąd powodzi, kiedykolwiek dochodziła. Obok tego za pośrednictwem wszystkich władz rządowych, zbierane są co do tych okoliczności daty i dane statystyczne.

Są to studyja poważne, na podstawie których ma być wyrobiony projekt uregulowania koryta rzeki, na przestrzeni od Zawichosta do granicy pruskiej. Powyżej bowiem Zawichosta do granicy krakowskiej, z rządem austryjackim jest zawarta konwencyja, mocą której już od lat kilku regulacyja Wisły z obu stron się dopełnia.

W części Wisły przez powiat kozienicki przepływającej, w roku bieżącym pracowało trzy oddziały, pod przewodnictwem starszego pomocnika naczelnika partyi (p. Kostenieckiego), pułkownika korpusu szturmanów, p. Mosiejewa. W każdym oddziale, było po trzech pracowników techników, z których jeden robił pomiar geodezyjny, drugi niwellacyją, trzeci profile koryta. Oddziały te znowu były pod zwierzchnictwem młodszych pomocników naczelnika partyi korpusu szturmanów: praporszczyka pana Gołosowa i inżenierów, pp. Rumela i Sulińskiego.

Roboty rozpoczęte od granicy wsiów: Opatkowice i Regów, a raczej od szluzy w wale pod Opatkowicami i doprowadzone do wsi Samwodzie.

Szczęść Boże takiej pracy! lecz uregulowanie nie kawałkami, lecz forsownie i na całej przestrzeni prowadzone być winno, jeśli rezultaty mają być szybkie, pewne i skuteczne.

Tyle co do robót. Wedle urzędowych danych, po rzece Wiśle, która ma w powiecie kozienickim, przystanie swoje w gminach: Góra-Puławska, Sarnów, Brzeźnica, Kozienice, Świerze i Trzebień, w roku bieżącym, z tych przystani spławiono:

z Góry-Puławskiej i wsi Sadłowice:			
budulcu . . .	sztuk	3,450	
szweli . . .	—	320	
klepek . . .	kop	250	
drzewa opałowego sążni kubicz.		1,000	
z Sarnowa przy wsi Regów:			
budulcu . . .	sztuk	7,770	
szweli . . .	—	19,570	
klepek . . .	kop	90	
z Brzeźnicy: szweli: . . .	sztuk	2,000	
klepek . . .	kop	150	
drzewa opałowego sążni kubicz.		107	
z Kozienic przy wsi Wymysłów:			
szweli . . .	sztuk	310	
klepek . . .	kop	960	
ze Świerzów przy wsi Świerze:			
budulcu . . .	sztuk	500	
szweli . . .	—	400	
klepek . . .	kop	1,000	
ze Świerzów przy wsi Wilczkowice górne:			
budulcu . . .	sztuk	450	
szweli . . .	—	600	
drzewa opałowego sążni kubicz.		1,200	
z Trzebienia: budulcu . .	sztuk	450	
szweli . . .	—	325	
klepek . . .	kop	20	

Przepływały statki:

a) Passażerski, paropływ Zarządu administracyi Fajansa —
b) Gabar, należących do tejże administracyi i innych osób do 850 sztuk
c) Berlinek . . . . . „ 200 —
d) Tratew . . . . . . „ 1,500 —

Statki i tratwy dla bezpiecznego pływania, opatrzone są odpowiednią liczbą kotwic, lin i obsługi. Ich właściciele zawierają kontrakta z majtkami na całą podróż, w razie nieporozumień i sporów, sprawy rozpoznawają się i decydują przez miejscowe władze gminne. Majtkowie po większej części pochodzą z Galicyi austryjackiej, od których właściciele statków nie żądają nawet dowodów o znajomości orylki.

W ostatnich trzech latach, było w powiecie kozienickim siedm wypadków rozbicia i uszkodzenia statków od przedmiotów ukrytych w łonie Wisły, a mianowicie:

W r. 1873, dwa wypadki, szkody poniesiono na rubli sr. 1,200.

W r. 1874 dwa wypadki, szkoda obliczona na rub. sr. 1,050.

W r. 1875 trzy wypadki, szkoda wynosiła rubli sr. 1,800.

Przewozy przez Wisłę, w gubernije Lubelską i Siedlecką, są zaprowadzone w obrębie gmin: Góra-Puławska, Oblassy, Sarnów, Sieciechów, Brzeźnica, Kozienice i Świerze.

Ceny na materyjały wiślane szarwarkowe w roku bieżącym istniały:

za kopę faszyny . od rs. 2 do rs. 2 k. 35,
„ „ kołków kopiejek 75,
„ podwodę płacono od rs. 1 k. 50 do rs. 2-ch.
Robotnik dzienny od kop. 45 do kop. 50.

Sąsiadujące z brzegiem Wisły karczmy, nie mają złego wpływu na robotników wodnych, i do tych karczem wstępują oni jedynie na odpoczynek i dla pożywienia się.

Lud nadbrzeżny śmiały i odważny, mimo smutnego czasem następstwa, i dla korzyści lub zabawy w kruchej łódce rzuca się w spienione bałwany Wisły. Byliśmy świadkami, kiedy wśród jednego z większych wylewów grożącego nawet przerwaniem ochronnego wału, na przestrzeni może trzy lub cztero-werstowej przemkła łódka malująca na horyzoncie od prawego brzegu rzeki dwa cienie. Na raz pozostaje cień jeden, który w kilka chwil znika i grobowe głosy —„ratuj, ratuj!" — dochodzą

broniących wału. Nie ma chwili do stracenia, dwie łodzie wysuwają się naraz bezzwłocznie i płyną na pomoc w kierunku śmiertelnego głosu. Uwaga wszystkich zwrócona w jeden niewielki punkcik, w którym jeszcze drga życie a cichy i szczery bo nie kłamany szept: „Boże dopomóż“ jakby z jednej wypływa piersi. W czas niejaki do brzegu przy wsi Staszów, dobija łodka z radosnym okrzykiem „ocaleni,“ w niej omdlałych dwóch braci włościan z sąsiedniej powiślańskiej wsi Łoje, lat 18 i 25, którzy w retmańskiem czółenku nie zważając na rozhukane fale, rzucili się za łapaniem belek z rozbitych tratew. Po przyjściu do siebie mówili „choćby złote płynęły belki nie będziem więcej narażali życia,“ czy sądzicie, że dotrzymali słowa?... Pierwszy wylew miał ich pierwszych na tego rodzaju wyprawę. W marcu 1872 r., czternastu młodzieży włościan ze wsi Holendry siadło w łódkę, pragnąc dopłynąć do tratwy stojącej na środku Wisły. Zaledwie pewną przepłynęli przestrzeń, łódź przeładowana tonąć zaczyna; na raz jeden, straszne rozlegają się krzyki, dwóch z łodzi rzuca się w nurty i szczęśliwie dopływa do brzegu, pięciu zbawia retman wspomnionej tratwy, a siedmiu pozostałych staje się ofiarą podróży. Czy w tym wypadku była przestroga dla drugich?... Nie — w kilkanaście dni po tem, podobne wyprawy kilkakrotnie się powtórzyły.

Na tem zobrazowaniu kończę niniejsze pismo, obiecując więcej w przyszłości.

—„—



Odwiedziny więźnia przez rodzinę w Turcyi.

GAWĘDY HIGIJENICZNE I LEKARSKIE.

XVIII.

O ratowaniu osób zagorzałych czyli zaczadzonych.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Przy paleniu drzewa, węgli drzewnych lub kamiennych i torfu, w ogóle wszelkich materyj zawierających węgiel, tworzą się dwa bezbarwne gazy: *kwas węglany i tlenek węgla*, które są bardzo szkodliwe dla zdrowia ludzi i zwierząt, a nawet niebezpieczne, gdyż przy wdychaniu ich w większej ilości lub przez czas dłuższy, mogą o śmierć przyprawić. Gazy te tworzą się w następujący sposób: przy paleniu materyi, zawierających w sobie węgiel, tlen powietrza łączy się z węglem palącej się materyj; jeśli węgiel pali się przy niedostatecznym przystępie powietrza atmosferycznego, wtedy z połączenia trzech części na wagę węgla, z czterema częściami tlenu, powstaje tlenek węgla; w razie zaś jeśli węgiel, paląc się, posiada dostateczny przystęp powietrza, wówczas też same trzy części na wagę węgla, łączą się z ośmioma częściami tlenu i tworzy się kwas węglany. Cała więc różnica pomiędzy tlenkiem węgla i kwasem węglanym polega na tem, że ostatni zawiera w sobie więcej tlenu aniżeli pierwszy.

Pomieniony to tlenek węgla, pospolicie *zagarem* lub *czadem* zwany, był już niejednokrotnie przyczyną zaduszenia ludzi, jeśli węgiel przy paleniu nie miał dostatecznego przystępu powietrza atmosferycznego, co zdarza się przy żarzeniu się węgla w fajerce, przy złem urządzeniu przeciągów w piecu lub też przy zawczesnem zasunięciu rury. Samo z siebie wynika, że tlenek węgla wtedy tylko okazuje się niebezpiecznym, kiedy zamiast uchodzić przez rurę pieca, przenika do pokoju i tutaj miesza się z powietrzem; to ostatnie zaś ma miejsce, nie tylko przy zawczesnem zasunięciu rury, kiedy węgle w piecu są jeszcze otoczone jasnym płomieniem, lecz i w takich razach, gdy powietrze w pokoju bywa rzadszem aniżeli w piecu i rurze. Rzeczona okoliczność może również powstać w skutek szybkiego ochłodzenia i znacznego zgęszczenia tlenku węgla w otworze rury dym odprowadzającej, jak to naprzykład zdarza się w czasie silnych mrozów. W podobnych razach, tlenek węgla przenika do pokoju razem z dymem, gdy tymczasem przy zbyt wczesnem zasunięciu rury, dostaje się on do pokoju w sposób wcale niedostrzegalny. Bywały nawet wypadki zaduszenia tlenkiem węgla w mieszkaniach zupełnie nie opalanych, rury piecowe których komunikowały się z rurami górnego lub dolnego piętra, przepełnionemi tlenkiem węgla.

Dla zapobieżenia zaczadzeniu, głównym środkiem jest zachowanie tej mianowicie ostrożności, ażeby paląc w piecu drzewem, nie pierwej rurę zasunąć, aż się węgle tak wypalą,

iż najmniejszego nad niemi nie będzie widać płomyka; paląc zaś węglem kamiennym, zwłaszcza w piecu nie urządzonym hermetycznie, należy zasunąć rurę dopiero po zupełnem tegoż węgla na popiół spaleniu się. Ogrzewanie mieszkania z pomocą fajerki jest wielce niebezpiecznem; można je uważać po prostu za najdogodniejszy sposób otrucia się tlenkiem węgla. Nie trzeba również nigdy wnosić do pokoju samowaru, przed zupełnem wypaleniem się w nim węgli.

Wdychanie powietrza zanieczyszczonego choćby wcale nieznaczną ilością tlenku węgla, wywołuje uczucie ciężkości w głowie, mocny ból głowy, nudności, dzwonienie w uszach, przelatywanie iskier przed oczyma, ściskanie w piersi; przy większej ilości, gaz ten sprawia zawrót głowy, nieprzezwyciężoną chęć do spania i utratę przytomności. Pięć części tlenku węgla, na sto części powietrza w pokoju zamkniętym, wystarcza do wywołania oznak duszenia się, nierzadko w połączeniu z okropnemi ruchami drgawkowemi i głęboką nareszcie bezprzytomnością.

Pierwsza pomoc przy otruciu tlenkiem węgla, oraz w ogóle przy otruciu którymkolwiek ze szkodliwych gazów, a mianowicie: *kwasem węglanym, gazem oświetlającym, gazem siarkowodornym* czyli *kloacznym* i in., zależy na tem, ażeby o ile można jak najprędzej usunąć pozornie zmarłego z zanieczyszczonej atmosfery i umieścić go w czystem, ciągle odnawiającem się powietrzu. W tym celu, należy poroztwierać naróścież drzwi i okna pokoju, gdzie znaleziony został pozornie zmarły, a rurę od pieca odsunąć; zimna nie ma się co obawiać w podobnym razie. Następnie, trzeba otrutego oswobodzić z wszelkiej odzieży uciskającej i rozebrać go prawie do naga; ciału należy nadać położenie pół siedzące ze zwieszonemi nogami i usiłować pobudzić w niem, czynność nerwową i krążenie krwi, a przedewszystkiem oddychanie. Aby więc to osiągnąć, trzeba twarz i piersi pozornie zmarłego skrapiać zimną wodą, samą lub też z octem obmywać tym ostatnim całe ciało, dać lewatywę z octu i soli, trzeć całą skórę ręką lub szczotką a głównie w okolicy kręgosłupa; pożyteczną jest także rzeczą drażnić nerw powonienia za pomocą środków wonnych i pobudzających do kichania (jak np. amonia), łechtać nos i gardło chorągiewką pióra, na dołek sercowy przyłożyć gorczycznik (synapizm). Równocześnie zaś, trzeba wzbudzić *sztuczne oddychanie*, mianowicie przez wdmuchiwanie powietrza w płuca pozornie zmarłego. Jeśli jednak przytem osoba ratująca pragnie uniknąć przyłożenia swych ust do ust otrutego, to powinna użyć lejka, dmuchawki lub jakiej innej rurki. Podczas wdmuchiwania, trzeba zatykać nos pozornie zmarłego. Po wdmuchaniu, należy uciskać klatkę piersiową i brzuch, lub też obracać pozornie zmarłego to na grzbiet, to na brzuch, w skutek czego powietrze zostaje z płuc wyciśniętem. Nie rzadko wystarcza już w tym celu samo uciskanie brzucha, za pomocą rąk płasko ułożonych, przez co przepona podniesioną zostaje w górę, a płuca uciśnięte, powietrze zaś z nich wypędzone ze szmerem. Jeżeli osoba ratująca usunie następnie swe ręce, wówczas w skutek opadnięcia przepony, powietrze bywa znów wciągniętem do płuc, lecz bez żadnego szmeru. Rzeczone wdmuchiwanie powietrza wypada powtarzać dotąd, dopóki nie da się spostrzedz ciągły, samowolny ruch oddechowy.

Skuteczniejszem jeszcze jest wzbudzenie sztucznego oddychania *według metody D-ra Silvester*. Urządza się ono w następujący sposób: rozebrawszy pozornie zmarłego z wszelkiej uciskającej odzieży, układa się go w znak na nieco pochyłej powierzchni, tak ażeby głowa leżała wyżej, przyczem pod głowę i kark podsuwa się małą twardą poduszkę, lub w braku tejże, część złożonego ubrania. Następnie wyciąga się język z ust pozornie zmarłego i utrzymuje takowy w zwieszonem położeniu wstążką, tasiemką lub chustką, przewiązanemi nad językiem i pod brodą. Potem, trzeba stanąć za głową pozornie zmarłego i uchwyciwszy obie ręce jego tuż nad łokciami, ciągnąć je zwolna, lecz mocno ku górze aż do głowy i utrzymywać je w tem położeniu przez chwilkę (około dwóch sekund), w skutek czego powietrze zostaje wciągniętem do płuc. Z kolei, opuszcza się ręce pozornie zmarłego na dół i przyciska się je zwolna, lecz mocno, przez chwilkę do boków jego piersi, w skutek znów czego powietrze zostaje z płuc wypędzonem. To pociąganie rąk pozornie zmarłego naprzemian ku górze i na dół, trzeba powtarzać z dziesięć razy na minutę, dopókąd się nie spostrzeże pierwszych oznak wracającego życia, do których należą: lekkie drganie w powiekach, w oczach, na twarzy i na szyi, słabe zaczerwienienie się ust, mniejsze stężenie członków, rozgrzanie się skóry w niektórych miejscach, a mianowicie w dołku sercowym, pod pachami i w pachwinach, nieznaczne poruszenia piersiami i zaledwie dające się czuć uderzenia serca. Gdy to ma miejsce, można wracającego do życia pozostawić spokojnie leżącego na grzbiecie, i zająć się wyłącznie ogrzaniem jego ciała oraz pobudzeniem krążenia krwi, już to rozcierając członki suchą flanelą, już też przykładając gorące chusty, kamionki z wodą gorącą lub rozgrzane cegły do nóg chorego, a rozgrzane pokrywy, talerze lub woreczki z ciepłym piaskiem, popiołem, i t. p. na brzuch i dołek sercowy, tudzież owijając całe ciało w kołdry i t. p.

Wszystkie środki powyższe okazują się tem skuteczniejsze, im mniej upłynęło czasu od chwili otrucia. Zresztą, nawet tam, gdzie one pozostają bezowocnemi, nie trzeba jeszcze tracić nadziei powrotu do życia; nierzadko zdarzało się, że dopiero po pięciu, sześciu a nawet więcej godzinach ratowania, otruty odzyskiwał życie. Dla tego też, jeśli po wytrwałem użyciu opisanych tutaj środków ratunku przez czas dłuższy, życie nie wraca, nie należy jeszcze opuszczać zupełnie pozornie zmarłego, lecz okrywszy go czem ciepłem, pozostawić na łóżku z twarzą niezasłoniętą. Ostrożność ta jest konieczną, gdyż niekiedy, znajdujący się w pozornej śmierci, obudza się wtedy dopiero, gdy zaprzestano ratunku i pozostawiono go w ciszy i spokoju.

Co się tyczy puszczania krwi lub innych jakichkolwiek środków, to zastosowanie takowych powinno mieć miejsce tylko z polecenia lekarza, o wezwanie którego trzeba się postarać również jak najwcześniej, jeśli to możebne.

FANTAZYJA D[ra] OX

przez

Julijusza Verne.

(Dokończenie).

Władze Virgamen nasamprzód nie mogły odgadnąć o co to chodzi i strażnik ziemski pomimo swego urzędowego charakteru, był utraktowany bardzo po brutalsku.

Burmistrz zebrał wtedy znakomitości miasta. List godny uwagi i surowo zredagowany posłanym został w formie ultimatum; casus belli był w nim widocznie postawionym, czas 24-godzinny do namysłu i naprawienia złego pozostawionym został miastu Virgamen, winnemu obrazy przeciwko miastu Quiquendone spełnionej.

List wyprawionym został i w kilka godzin później powrócił podarty w drobne kawałki, dowodzące widocznie nowego lekceważenia i obelg. Mieszkańcy Virgamen znali oddawna powolność mieszkańców Quiquendone i żartowali sobie z nich i ich pogróżek: owego casus belli i ultimatum.

Nie pozostawało więc nic innego do zrobienia jak bez namyślania się o wyborze i jakości broni, wzywania boga wojny, według systemu pruskiego, rzucić się na Virgameńczyków, zanim by ci byli gotowi do obrony.

Otóż to zdecydowała rada na swem walnem posiedzeniu, gdzie krzyki, łajania, gesty groźne krzyżowały się z bezprzykładną gwałtownością. Klub szalonych nie byłby wścieklejszym.

Jak tylko deklaracyja wojny ogłoszoną została, generał Jan Orbideck zebrał swe wojsko, składające się z dwóch tysięcy trzystu ośmdziesięciu trzech wojowników, wybranych z liczby dwóch tysięcy trzystu ośmdziesięciu trzech dusz. Kobiety, dzieci i starcy włączeni zostali do armii czynnej. Wszystkie przedmioty krające i tłukące stały się bronią. Fuzyje w mieście zebrane zostały sposobem rekwizycyi. Zebrano ich pięć z których dwie bez kurków i takowe rozdzielono pomiędzy przednią straż. Artyleryja składała się ze starej śmigownicy zamku zdobytej w 1339 roku przy wzięciu Quesnoy, było to jedno z narzędzi ognionośnych o których wzmiankuje historyja i z którego nie strzelano od pięciu wieków. Nadto nie było nabojów do nabijania tej broni, co było wszakże bardzo szczęśliwym wypadkiem dla kanonierów obsługujących; jakakolwiek wszakże była ta machina, mogła zaimponować nieprzyjacielowi.

Co do białej broni, ta czerpaną była z muzeum starożytności: siekiery z krzemienia, proce, maczugi, topory obosieczne, dzidy, halabardy, rapiry i t. p., do tego szczególnego uzbrojenia, należała także broń licząca się do narzędzi kuchennych. Lecz odwaga, sprawiedliwość sprawy, nienawiść do nieprzyjaciela

i żądza zemsty, zastąpić miały broń najdoskonalszą a nawet przewyższyć, tak przynajmniej spodziewano się, kartaczownice nowożytne i działa odtylcowe.

Rewija odbytą została. Ani jednego obywatela nie brakowało przy apelu. Jenerał Orbideck chwiejąc się z początku na swym koniu, który był zwierzęciem bardzo złośliwem, spadł z niego trzy razy przed frontem armii, lecz powstał nie zraniwszy się, co uważanem było jako szczęśliwa wróżba. Burmistrz, radny, komisarz cywilny, sędzia prezydujący, poborca, bankier, rektor, nakoniec wszystkie znakomitości miasta, postępowały na przedzie. Łza jedna wylaną nie została przez matki, siostry, kochanki, one zachęcały swoich mężów, ojców i braci do walki i postępowały nawet za nimi tworząc aryjergardę, pod dowództwem odważnej pani van Tricasse.

Na odgłos trąby, użytej przez Jana Mistrol woźnego miejskiego, armija poruszyła się z miejsca i wydając dzikie okrzyki, skierowała się ku bramie Audenardu....

W chwili, gdy główna kolumna przebyć miała mury miasta, jakiś człowiek wybiegł na jej spotkanie: „Wstrzymajcie się, wstrzymajcie głupcy, co wy robicie! zawołał! Powstrzymajcie swoje zapędy! Dajcie mi czas do zamknięcia kranu! Was nie wzburza krewkość! Wy jesteście uczciwi mieszczanie, łagodni i spokojni! Jeżeli pałacie jaką żądzą, to jest winą mojego pana doktora Ox! To doświadczenia! Pod pozorem oświetlenia miasta gazem tlenowodornym, on napełnił.....

Pomocnik, on to był, odszedł od zmysłów i nie mógł dokończyć. W chwili, gdy sekret doktora wydzierał mu się z ust, doktor Ox sam we wściekłości nie do opisania rzucił się na nieszczęśliwego Ygèna i zamknął mu gębę uderzeniem kułaka.

Nastąpiła walka. Burmistrz, radny, urzędnicy, którzy przystanęli, widząc Ygèna uniesionego kolejno rozjątrzeniem, rzucili się na dwóch cudzoziemców, nie chcąc wysłuchać ani jednego ani też drugiego. Doktor Ox i jego pomocnik, szarpani, bici, mieli być z rozkazu van Tricassa zawleczeni do więzienia, gdy....

XV.

W którym następuje eksplozyja.

Gdy w tem gwałtowna eksplozyja dała się słyszeć. Cała atmosfera otaczająca Quiquendonc zatrzęsła się. Płomień siły i żywości fenomenalnej, wybuchł jak meteor aż pod obłoki. Gdyby to stało się w nocy, wybuch ten stałby się widocznym na dziesięć mil w około.

Cała armija Quiquendonc, padła na ziemię jak wojsko złożone z mnichów.... Szczęściem nie było żadnej ofiary: kilka zadraśnień i guzów, oto wszystko. Cukiernik, który przypadkowym sposobem nie zleciał w tej chwili z konia, osmalił sobie tylko pióro od kapelusza i wyszedł cało bez innego szwanku.

Cóż takiego stało się? Rzecz bardzo prosta, jak się wkrótce dowiemy, fabryka gazu wyleciała w powietrze. Podczas nieobecności doktora i jego pomocnika, popełniono tam jakieś nieostrożności. A nadto niewiadomo w jaki sposób i dla czego dwa rezerwoary, z których jeden napełniony wodorodem, drugi kwasorodem, skomunikowane były z sobą. Z połączenia tych dwóch gazów, powstała mieszanina piorunująca; takim sposobem wybuchła eksplozyja i ogień.

Wypadek ten, zmienił postać rzeczy, lecz zanim armija podniosła się z ziemi, doktor Ox i jego pomocnik Ygène, zniknęli...

XVI.

W którym domyślny czytelnik odgadnie zakończenie.

Po eksplozyi, Quiquendonc stało się znowu miastem spokojnem, flegmatycznem, flamandzkiem jakiem było poprzednio.

Po eksplozyi, która nie spowodowała znów nadzwyczajnego wrażenia pomiędzy mieszkańcami Quiquendonc, każdy z nich nie wiedząc z jakich powodów, machinalnie zwrócił się w kierunku domu, burmistrz oparty na ramieniu radnego, adwokat Schut na ramieniu doktora Custos, Franciszek Niklausse na ramieniu swego rywala Szymona Colaert, każdy spokojnie bez hałasu, nie mając z zaszłych wypadków nic na swem sumieniu; każdy zapomniał o Virgamen i zemście, jenerał powrócił do robienia swych konfitur a jego adjutant do cukru owsianego.

Wszystko powróciło do spokoju i do życia zwyczajnego, ludzie i zwierzęta, zwierzęta i rośliny, nawet wieża z bramą Audenardu, którą eksplozyja, te eksplozyje są niekiedy zdumiewające, którą eksplozyja powiadam sprostowała!

I od tego czasu nigdy już wyraz głośniejszy od innego ani sprzeczka w mieście Quiquendonc nie zdarzyły się. Ani polityki, ani klubów, ani procesów, ani policyjantów! Posada komisarza Passauf zaczęła być znów synekurą i jeżeli mu nie zmniejszono jego pensyi, to tylko dla tego, że burmistrz i radny nie mogli się zdecydować stanowczo w tym względzie. Wszakże od czasu do czasu w dalszym ciągu uwzględniali niejako marzenia Tatanemancyi.

Co do rywala Franciszka, ten zrzekł się szlachetnie pięknej Suzel na korzyść jej narzeczonego, który znów ze swej strony postarał się poślubić ją w 5 lub 6 lat po zaszłych wypadkach.

Co do pani von Tricasse, ta umarła w 10 lat później jak pożądanem było i burmistrz poślubił Pelagiję van Tricasse jej kuzynkę w doskonałych warunkach... dla szczęśliwego śmiertelnika, który miał po nim nastąpić.

XVII.

W którym wykłada się teoryja doktora Ox.

Cóż więc robił ten tajemniczy doktor Ox? Doświadczenia fantastyczne i nic więcej.

Po zaprowadzeniu rur gazowych napełniał je czystym kwasorodem nie dostarczając nigdy ani jednego atomu wodoru do zabudowań publicznych, domów prywatnych i nakoniec ulic miasta Quiquendonc.

Gaz ten bez smaku i zapachu wypuszczany w wielkich ilościach w atmosferę, sprawuje, gdy nim oddychamy nadzwyczajne wzburzenie organizmu. Żyjąc w miejscu nasyconem kwasorodem, jesteśmy wzburzeni, rozdrażnieni, jakby się w nas paliło.

Zaledwie zaś powrócimy do zwykłej atmosfery, staje się to cośmy widzieli na przykładzie burmistrza i radnego, gdy na wierzchołku wieży znaleźli się w powietrzu właściwem do oddychania, kwasoród bowiem utrzymuje się tylko w niższych warstwach.

Lecz żyjąc w takich warunkach, oddychając ciągle tym gazem umiera się prędko, jak ci szaleni co żyją w ciągłych nadużyciach.

Szczęśliwem więc było dla mieszkańców Quiquendonc, że przypadkowa eksplozyja niszcząc fabrykę doktora Ox zakończyła szkodliwe doświadczenia.

Reasumując i kończąc dodam: że cnota, męstwo, talent, rozum, imaginacyja słowem wszystkie te przymioty i zdolności według teoryi doktora Ox stanowią kwestyją kwasorodną?

Taka jest teoryja doktora Ox, lecz mamy powody nie przyjmować jej i co do nas odrzucamy ją z każdego punktu za opatrywania na nią, pomimo fantastycznych doświadczeń, które powyżej opowiedzieliśmy a których teatrem było szanowne miasto Quiquendonc.

Koniec.

Przegląd Teatralny.

Przed ślubem, komedyja w 5-ciu aktach (akt 3-ci w 2-ch odsłonach) Kazimierza Zalewskiego.

Są pewne kolizyje uczuć i stosunków moralno-obyczajowych, które przedstawiają niewyczerpany materyjał dla twórczości artystycznej. Matka, handlująca sercem córki swojej, bierne poświęcenie ze strony tej ostatniej, bunt uczuć serdeczniejszych w piersi dziewczęcia; wszystko to na tle obyczajowości pewnej sfery społecznej, służy za treść do wielkiej ilości utworów dramatycznych i powieściowych. Jest to kraina bogata, ale trudno stanąć w niej na gruncie oryginalnym. Trzeba mieć baczne nader oko samoistnej obserwacyi, ażeby wydobyć stąd coś, noszącego na sobie mniej wytarte barwy. Wiele jednakże zależy tu od artystycznego obrobienia całości, od zręcznego, oryginalnego powiązania sytuacyj, od odkrycia w bohaterach utworu pewnych nowych odcieni psychicznych. Życie przedstawia nieograniczoną rozmaitość uczuć, charakterów, stosunków, które zmieniają się przytem co chwila. Jedne więc i te same kolizyje w różnych formach, mogą stanowić nigdy niewyczerpaną skarbnicę twórczości artystycznej.

Przystępując do oceny utworu p. Zalewskiego, musimy podać przedewszystkiem treść jego. Lekkomyślna mamunia, pani Łucka przeszastała w krótkim czasie własny i córki majątek. W tak smutnym stanie zastajemy ją na samym początku komedyi. Lecz jako kobieta praktyczna, pomyślała czemprędzej o lekarstwie skutecznem. Ze świetnych czasów bogactwa pozostał jej jeden, kosztowny bardzo mebel. Postanowiła go spieniężyć. Mebel ten należał do istot, obdarzonych sercem i rozumem. Tem większa tedy wartość jego. W gwał-

townie prowadzonych łowach na męża, pomaga pani Łuckiej, brat jej, Teodor Drecki, opiekun dziewczęcia, który pragnąłby jakoś wyśliznąć się od zdawania rachunku z administracyi finansowej. Zacna ta para działa szybko i energicznie, oceniając kwalifikacyją podżyłych konkurentów ilością ich dochodów rocznych. Ale cóż robi wobec tych okoliczności strona najbardziej interesowana?... Oto nachyla w pokorze czoło pod brzemię ofiary, poświęca swe szczęście dla matki. I wszystko skończyłoby się na małżeństwie z pociesznym szlachciurą, gdyby nie jedna osobistość, która gra tu rolę anioła opiekuńczego. Pragnąc uratować od zguby moralnej biedne dziewczę, które umierający ojciec powierzył jego opiece, nagłem oświadczeniem się o rękę Helenki (tak się nazywa bohaterka nasza), odsadza od niej poprzedniego konkurenta. Pragnie tym sposobem zostawić dziewczęciu czas do znalezienia sobie jakiego ideału, a skoro to nastąpiło, łączy zakochaną parę. Działa on tu jedynie potęgą marnego kruszcu, przed którym ugina się nieubłagana wola matki i opiekuna Helenki.

Oto treść utworu, napozór niezbyt skomplikowana. W szczegółach atoli wypełnił ją autor zręcznie bardzo ułożonemi motywami i kolizyjami. Główną jednakże wadą komedyi jest to, że z głównych postaci, około których cała prawie akcyja skupiać się powinna, jedna tylko udatnie została wykończoną. Mamy tu na myśli dobrze obmyślany i ciekawy nader pod względem psychologicznym typ Augusta Nowowiejskiego. Jest to duchowość, w której pod gruzami naleciałości życiowych spoczywają nieocenione skarby uczuć szlachetnych. Mamy tu coś w rodzaju owych Hugowskich postaci, w których piękne barwy ducha odbijają się dziwnym kontrastem od macoszych istnie darów natury fizycznej. Szpetność rażąca zamknęła przed nim na wieki raj wzniosłych rozkoszy serca, pogwałciła najświętsze jego prawa. Wszystkie młodzieńcze pragnienia duszy, których życie nigdy nie zadowoliło, zamknęły się w głębi piersi zbolałej, łamiąc szlachetnego ducha w dziwaczne kształty. Słowem August wyszedł pozornie na oryginała, egoistę i darmozjada. Skrzydła ducha opadły, nie miały snać siły do szerszego lotu... Postać to w znacznej części patologiczna, ale psychicznie prawdziwa i nader ciekawa. Szczególniej nie mały interes przedstawia istnie dramatyczna kolizyja uczuć, jakie się zbudziły na popielisku pogwałconych żądz gorącej jeszcze piersi. W jesieni życia pokochał August uroczy kwiatek wiosenny—Helenkę. Pragnienia serca zawrzały burzą uczuć gwałtowną. Ale na szlachetnem czole tego człowieka natura wypisała wielkiemi głoskami wyraz „poświęcenie." Bohater nasz potrzebował tylko sięgnąć ręką, ażeby zerwać uroczy kwiatek, którego tak gorąco dusza jego pragnęła. Ale człowiek ten, zwany powszechnie egoistą i darmozjadem, składa swe uczucie na ołtarzu ofiary i uszczęśliwia boginią serca swego dłonią zacnego młodziana. Grę uczuć, przez jakie przechodziła dusza Augusta, skreślił autor, aczkolwiek szkicowo, ale nader wybitnie, i uwydatnił je w sytuacyi bardzo oryginalnie pomyślanej.

Za to główna bohaterka utworu, Helenka, jest sobie efemerycznym kwiateczkiem, o którym wiemy tyle tylko, że się poświęca, w sposób dosyć bezzasadny i należycie nie umotywowany; że zakochała się nagle w młodym malarzu, naumyślnie *ad hoc* sprowadzonym, że również nie wiadomo dobrze, dla czego, gwałci wzajemne uczucia. Dziewica ta chce być koniecznie ofiarą poświęcenia, najprzód dla matki a później dla człowieka, który ma do tego te tylko prawa, że ją uwolnił od związku z pociesznym szlachciurą i że ją kocha gorąco. Nie sądzimy, ażeby okoliczności te mogły służyć jako dostateczny powód do ofiary. W ogóle postać to skreślona blado, i całe postępowanie jej nie jest należycie umotywowane. O tyle tylko wyżej stoi ona od podobnego rodzaju efemerycznych postaci kobiecych, że obraca się w pewnym zakresie samoistnego czynu.

Jeszcze słabiej skreślił autor postać młodego malarza Antoniego Uszyńskiego. Jest to chodzący ogólnik moralny. Wiemy o nim tyle tylko, że pięknie maluje, ale dziwnie niezdarnie kocha i jeszcze niezręczniej postępuje z kochanką. Rzuca się, szamota, wpada z jednej ostateczności w drugą i t. d. Jest to zresztą powszechna prawie wada powieściopisarzy i autorów dramatycznych, że dodatnie typy ich utworów wychodzą daleko słabiej od ujemnych.

Żywo skreśloną postacią jest pocieszny szlachciura Klapkiewicz. Obok rysów, któremi już inni autorowie szczodrze szafowali w kreśleniu tego rodzaju typów, znajdujemy tu w szczegółach i pewne odcienia oryginalnej twórczości. W ogóle postać to zamaszysta, prosta, otwarta, nieokrzesana, a wgruncie poczciwa. Szczególniej przy końcu autor dosyć oryginalnie uzupełnił jej charakterystyczne rysy.

W skreśleniu ważnych bardzo w głównej akcyi osobistości, a mianowicie pani Łuckiej i brata jej Teodora Dreckiego, autor albo dziwnie połamał albo zbyt jaskrawo zaznaczył pewne rysy. Łucka jest strasznie cyniczną, a Drecki zbyt zamazaną i niejednolitą postacią. Mamy tu jeszcze dwa epizodyczne typy; nie wiążące się ściśle z akcyją. Żywe i umiejętne skreślenie zwarca na nie uwagę czytelnika, odrywając ją niekiedy od głównych bohaterów utworu. Jedna z tych postaci, stary profesor Baltazar Uszyński wiąże się o tyle tylko z treścią komedyi, że jest ojcem jednego z głównych jej bohaterów, młodego malarza Antoniego. W każdym razie jest to typ nader umiejętnie naszkicowany. Również, a może i lepiej jeszcze skreśloną jest postać Muszkata, podżyłego rzeźbiarza—szubrawca, filozofa gardzącego światem i wszystkiem, co na niem jest, prócz wódki, tytoniu i dziewczyny. Nie jest to atoli postać z życia naszego zaczerpnięta, i w ogóle anachroniczna.

Oto typy, jakie mniej lub więcej udatnie skreślił nam autor. W ogóle widzimy tu wiele niedokładności, wiele rysów niewykończonych, skrzywionych nieco. Całość przedstawia nierówną trochę i zamazaną mozajkę, gdzie pewne rysy zbyt dobitnie występują, inne zaś nikną zupełnie. W zamian za to upatrujemy w utworze p. Z. przymiot nader ważny dla autora dramatycznego, a mianowicie: niemałą wprawę i artyzm w budowie sytuacyj w zręcznie bardzo przeprowadzonej intrydze. w wybornej akcyi scenicznej. Są to przymioty cenne bardzo; a baczniejsza obserwacyja życia usunie w następnych utworach utalentowanego bez zaprzeczenia autora, wskazane wyżej usterki. Znaczny postęp, jaki widzimy w tym utworze stosunkowo do dawniejszych, daje nam niepłonną w tym względzie nadzieję, oryginalność twórczości, która się w panu Zalewskim słabo jeszcze objawia, przyjdzie również z czasem i doświadczeniem.

Wykonanie było w ogóle bardzo zadawalające i o wiele podniosło dodatnie strony utworu. Szczególniejsze uznanie należy się, jak zawsze, panu *Królikowskiemu*, który z postaci Nowowiejskiego stworzył świetny typ psychiczny. Artysta nie zadowolił się wyłącznie rysami, jakie autor skreślił, ale i sam dodał bardzo wiele do wykończenia i harmonii typu.... P. *Ostrowski* był nieporównanym szlachcicem. Obok zwykłej werwy, zamaszystości, widzieliśmy tu wiecznie nową i niewyczerpaną pomysłowość w szczegółach. P. *Leszczyński* drugorzędnej postaci Muszkata nadał wiele dzielnych rysów, które zwróciły na nię baczną uwagę widzów; w ogóle stworzył typ nader oryginalny. To samo można powiedzieć o grze pana *Chomińskiego*, w roli starego profesora. Należy się również słuszne uznanie pp. *Tatarkiewiczowi* i *Grzywińskiemu* za należyte wywiązanie się ze swego zadania. Co do panny *Popiel*, musimy tu z przykrością powtórzyć to samo, cośmy powiedzieli o grze tej artystki w „Niewinnych." Wprawdzie była tu p. P. bardziej trochę na swojem miejscu, w każdym atoli razie dramatyczności uczuć nie uwydatniła należycie. Wina tu w znacznej części leży na autorze, który dosyć blado postać Helenki nakreślił; dobra gra jednakże mogła ją nieco podratować. W chwilach gwałtowniejszych porywów gra grzeszyła szczególniej słabem wycieniowaniem i zbytnią pośpiesznością dykcyi. W ogóle głos zbyt słaby, najbardziej przeszkadza artystce do należytego wykonania roli silnie dramatycznej. P. P. jest znakomitą artystką: w rolach naiwnych i lekko, lirycznie uczuciowych jest nieporównaną, to też właśnie dla tem większego rozwoju talentu, winna się zakresem tych ról ściśle ograniczyć. W przedstawieniu zresztą postaci Helenki talent objawiał się często w wielu szczęśliwszych momentach, w grze twarzy szczególniej. Pani *Niewiarowska* jaskrawo skreślonej postaci pani Łuckiej przesadną grą swoją nadała bardziej jeszcze skarykaturowane rysy.

Ant. Pilecki.

BLIŹNIĘTA

powieść tłomaczona z francuskiego

przez

A. O.

W miesiącu październiku r. 1848, starałem się o przyjęcie do szkoły pedagogicznej razem z dwoma braćmi Debay, którzy mieli także zamiar wstąpienia do pomienionej szkoły. Bracia Debay byli Bretończykami, rodem z Au-

ray, a pobierali nauki w kollegium miasta Vannes. Byli to bliźnięta, pomimo tego ogromna zachodziła między nimi różnica, tak pod względem powierzchowności jak i charakteru. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć bliźniąt tak mało podobnych do siebie. Piotr, liczący podówczas dwadzieścia trzy lata, był brzydki, co się zowie: ręce długie, ramiona podniesione w górę, jak u garbatego, nogi krótkie, stanowiły całość niezbyt pociągającą. Za to brat jego Paweł mógł się uważać za prawdziwy typ klasycznej piękności: wzrostu słusznego, dobrze zbudowany, kibić miał smagłą, oczy prześliczne, profil grecki ocieniony miękkim wąsikiem. Włosy jak heban czarne spadały mu na ramiona w bujnych kędziorach, podobnych do lwiej grzywy.

Biedny Piotr nie był wprawdzie rudy, lecz za to jego włosy na głowie i brodzie przedstawiały próbkę niemal wszystkich kolorów. Jedna tylko rzecz w nim każdemu się podobała, a tą były oczy, oczy siwe, pełne szczerości, pociągające łagodnością i słodyczą, widną w każdem ich spojrzeniu; zdaje się, że cała piękność jego zogniskowała się w oczach.

Przychodząc na egzamin, Paweł zwykł był wywijać elegancką laseczką o srebrnej gałce, Piotr zaś włóczył za sobą czerwony parasol, jednający mu względy egzaminujących profesorów. Pomimo tego nie został przyjęty, również jak i brat jego. Kollegium w Vannes niedostatecznie ich usposobiło w greckim języku. Żałowaliśmy wszyscy Piotra; niekłamaną miał ochotę kształcenia się i kształcenia innych, widocznie urodził się na nauczyciela. Co do Pawła, zgodziliśmy się jednogłośnie, iż szkodaby było tak pięknego i pełnego sił młodzieńca zamykać w murach uniwersyteckich.

Dwaj bracia nie byli zupełnie pozbawieni środków utrzymania, owszem, w porównaniu z nami można było ich uważać za bogatych. Główne źródło ich zasobów materyjalnych stanowił wuj Yvon, dawny kapitan okrętu, właściciel mnóstwa sieci i kilku statków, które wyprawiał na połów sardynek; prócz tego posiadał piękny dom w porcie miasta Auray.

Był to człowiek wielkiego serca; uczynny dla biednych, prawdziwym był dobroczyńcą dla niezamożnej rodziny. Powszechnie też był szanowany w Auray, gdzie zasiadał w radzie miejskiej. Małe chłopcy spotkawszy go na ulicy zdejmując czapkę pozdrawiały go zwykle słowami: „dzień dobry kapitanie Yvon.“ Zacny kapitan był starym kawalerem; brak czasu jak sam utrzymywał, nie dozwolił mu się ożenić. Natomiast przyjął bardzo gościnnie do swojego domu państwa Debay, a dla ich synów odkładał miesięcznie po dwieście franków.

Dzięki tej szczodrobliwości wuja Yvona, Piotr i Paweł mieszkali w najpiękniejszym domu z całej dzielnicy łacińskiej, przepełnionej młodzieżą akademicką. Za pokój, który zajmowali, płacili pięćdziesiąt franków miesięcznie; był to pokój wspaniały, mieściły się w nim dwa łóżka machoniowe przysłonięte czerwonemi firankami, dwa fotele, kilka krzeseł, a nawet.... o zgrozo! piękny kobierzec. Panicze ci stołowali się w domu za dość wysoką opłatą, bo wynoszącą 75 fr. miesięcznie. Tak więc życie i ubranie pochłaniały owe dwieście franków wuja Yvona. Inne, jakie jeszcze były wydatki, sam Piotr zaspakajał.

Wiek nie pozwolił temu ostatniemu powtórnie ubiegać się o przyjęcie do szkoły pedagogicznej, rzekł więc pewnego razu do brata:

— Przygotuję się do egzaminu na stopień licencyjata, a otrzymawszy go napiszę kilka rozpraw i zostanę doktorem, wtedy nie trudno mi będzie otrzymać katedrę na jakim fakultecie. Ty zaś możesz sobie obrać zawód prawnika albo lekarza.

— A pieniądze skąd? zapytał Paweł.

— Postaram się o nie. Wczoraj otrzymałem miejsce korepetytora przy jednem kollegium. Za dwie godziny rannej pracy z uczniami klassy trzeciej i drugiej otrzymam dwieście franków miesięcznie. Wprawdzie wstawać będę musiał o piątej godzinie, ale zato będziemy bogaci.

— A i tak, dodał Paweł, ranny z ciebie ptaszek, niewiele więc zrobi ci przykrości jeśli wcześnie łóżko porzucisz.

Paweł uczęszczał na wydział prawny. Rozprawiał, dowodził jak mówca jaki, nikt nie wątpił, że zostanie znakomitym adwokatem. Słuchał kursów, robił notaty i starannie opracowywał je w domu; potem wystroiwszy się zwiedzał wszystkie zakątki Paryża; wieczór spędzał zwykle w teatrze.

Piotr zaś w swoim orzechowego koloru paltocie, którego do dziś dnia zapomnieć nie mogę, słuchał wszystkich profesorów Sorbony, a wieczorami pracował w biblijotece Ś-ej Genowefy.

Pawła znała cała dzielnica łacińska, a o istnieniu Piotra ledwie się kto domyślał.

Odwiedzałem ich zwykle w niedziele i czwartki, gdyż w te dni wydalać się mogłem ze szkoły. Pożyczali mi książek do czytania. Piotr uwielbiał panią Sand, Paweł unosił się nad Balzakiem. Młody profesor znajdował prawdziwą przyjemność w towarzystwie *Franciszka Champi* lub *poczciwca Patience*. Niewinna i szlachetna jego dusza, pogrążona w zadumie postępowała za pługiem, przypatrując się czerwonawym bruzdom, lub gubiła się wśród ścieżek zarosłych krzewami pod cieniem rozłożystych kasztanów, otaczających *Dyjablą kałużę*. Niespokojny umysł Pawła wprost przeciwnemi postępował drogami. Ciekawy poznać tajemnice życia paryskiego, chciwy roskoszy, jawności i zgiełku, chwytał z romansów Balzaka wszystkie odurzające wonie jak z kwiatowej cieplarni. Śledził rozpromienionym okiem dziwne koleje *Rumbempre'go*, *Henryka de Massay* i *Rastignac'a*. Ubierał się w ich suknie, wciskał do ich towarzystwa, uczestniczył w ich pojedynkach, miłostkach, wyprawach i tryumfach, i radował się ich zwycięstwami. A potem przeglądając się w lustrze, mówił do siebie: Byliż oni co lepszego odemnie? Czy im nie dorównywam? Czy mi stoi co na przeszkodzie? Posiadam ich piękność, ich rozum, więcej jeszcze, naukę, której oni nie mieli, a nadewszystko, głębokie poczucie obowiązku! Nauczyłem się w kollegium złe od dobrego rozróżniać, będę więc *Marsay'em*, ale bez jego nałogów, *Rastigniac'em*, ale sumiennym! Cóż, co za przyszłość! z jednej strony roskosz, z drugiej spełnienie cnoty!

Gdy dwaj bracia z oczyma na wpół przymkniętemi, z książką w ręku dumali, na pewno byś powiedział, że Paweł słyszy dźwięk złota milionera *Nucingena* lub *Gobseka*, a Piotr przysłuchuje się odgłosowi dzwonków zwiastujących przybycie trzody.

Często wychodziliśmy razem na przechadzkę. Paweł oprowadzał nas po bulwarze Włoskim, lub po innych pięknych dzielnicach miasta. Wybierał pałace, zakupywał konie, godził służących. Gdy nam się spotkać zdarzyło jaką pospolitą facyjatę, rozpierającą się w pięknym powozie, wtedy brał mnie na stronę i mówił: na tym głupim świecie wszystko idzie na opak. Ten powóz sto razy lepiejby *nam* się przydał. *Nam*, mówił jedynie przez grzeczność, gdyż zapalonym był miłośnikiem koni, tak dalece iż Piotr dla zrobienia mu przyjemności kupił dwadzieścia biletów do cyrku Leblanc'a. Piotr zwykle zwracał swe kroki ku lasom Meudon i Clamart, utrzymując, że nawet w zimie wieś jest piękniejsza od miasta, a kruki na śniegu są przyjemniejszym dla niego widokiem niż zabłoceni mieszczanie. Naturalnie, że i ja nie mogłem się z nim zgodzić na to dziwaczne zdanie. Paweł powłócząc nogami leniwie postępował za nami. W głębi lasu marzył o tajnych stowarzyszeniach, wtedy zapalał się bo haterską odwagą i wzywał nas, abyśmy się z nim połączyli dla zdobycia Paryża.

Co do mnie i ja nastręczyłem moim przyjaciołom kilka ciekawych wycieczek. Zawiązało się bowiem w naszej szkole towarzystwo dobroczynności na małą skalę. Składka tygodniowa, kilka groszy wynosiła, dochód z corocznej loteryi i stare szkolne ubrania stanowiły szczupły ale nie wyczerpany kapitał. Rozdawaliśmy w pobliżu mieszkającym ubogim marki na drzewo, chleb lub bulijon, nieco odzienia lub bielizny, a najczęściej kilka słów pocieszających. Malutkie to stowarzyszenie miało w sobie to dobrego, iż przypominało młodzieży o istnieniu nędzy.

Piotr częściej niż Paweł towarzyszył mi w ciemnych zaułkach dwunastej dzielnicy. Paweł często deklamował: nędza jest zagadką, którą muszę rozwiązać. Wezmę się odważnie do dzieła, przezwyciężę wstręt i przejrzę wnętrze tych strasznych siedzib, gdzie nie codziennie ukazuje się chleb i słońce; dotknę własną ręką tego zjadliwego trądu toczącego naszę społeczność, która przed niedawnym jeszcze czasem była tak bliską upadku; zbadam w jakim stosunku własna wina, a w jakim nieubłagane przeznaczenie przyczynia się do poniżenia rodu ludzkiego! Pięknie prawił Paweł, lecz Piotr zwykle mi towarzyszył.

Pamiętam było to w miesiącu lipcu. Udaliśmy się pewnego razu na ulicę Traversine, do jednego biedaka, którego nazwiska nie pomnę; zajmował się wyplataniem krzeseł, był żonaty lecz nie miał dzieci, od małego wzrostu i siwiejących włosów sąsiedzi przezwali go Petit-Gris.

Przykrego doznawało się wrażenia wchodząc na tę ulicę Traversine, godniejszą raczej Konstantynopola niżeli stolicy ucywilizowanego świata. Dawno ją też zburzono i inną wyprowadzono. Zdaje się że wtedy nie była nawet brukowaną, lecz pełną błota i śmieci, po

których się tarzały obdarte na wpół nagie dzieciaki. Po obydwóch jej stronach sterczały wysokie domy o małych okienkach, w których się suszyły rozwieszone łachmany.

Petit-Gris opowiedział nam swoje smutne położenie, zarabiał franką na dzień, a żona 60 centymów za robienie słomianek. Zajmowali nędzną izdebkę na piątem piętrze; okna jej zalepione były papierem, a podłogę stanowiła ubita glina. Z zimnym uśmiechem biedak przyjął naszę skromną ofiarę.

— Z przeproszeniem pana, odezwał się nieśmiało, jak na mój głupi rozum, to nie zdaje mi się, aby tak szczupły zasiłek mógł złemu zaradzić. To tyle znaczy co kropla w morzu. Trudziliście się panowie aż na piąte piętro po to, aby mi przynieść sześć funtów chleba i trochę bulijonu. To wystarczy mi zaledwie na dwa dni. Panowie nie przyjdziecie tu więcej, bo macie co innego do roboty. Wpadnę znów w biedę, a może i gorszą, bo żołądek po zaspokojeniu go, głośniej się potem odzywa. Gdybym był bogatym, jak panowie (tu Piotr trącił mnie łokciem), to wiedziałbym, jak złemu zaradzić.

— A jakim sposobem, wskaż nam środek, jeśli dobry, postaramy się z niego korzystać.

— Dwa są sposoby zapewnienia biedakom stałego utrzymania, mianowicie udzielając im dostateczny fundusz na założenie jakiego sklepiku, albo dając im posadę rządową....

— A byłbyś cicho z tą twoją ambicyją, ofuknęła go żona, zawsze ci powtarzam, że ona cię zgubi.

— Nie widzę tu nic złego, skoro czuję się na siłach....chociaż przyznaję się, że mam nieladachętkę do urzędu. Gdyby mi ofiarowano trochę grosza na otworzenie handelku, przyjąłbym go z wdzięcznością, ale zawsze wolałbym publiczny urząd, który mam właśnie na widoku.

— A jakiż to? zapytał Piotr.

— Urząd zamiatacza Paryża, zapewniający dwadzieścia su dziennego dochodu. A ponieważ do dziesiątej godziny skończyłbym swoje czynności, więc mógłbym sobie daleko więcej zarobić. Pomału przyszedłbym do pewnej zamożności i panowie nie potrzebowalibyście trudzić się tak wysoko z chlebem i bulijonem w kieszeni.

Nie znaliśmy nikogo w magistracie, aby przyjść w pomoc ambitnemu Petit-Gris, na szczęście Paweł zaprzyjaźnił się z synem komisarza i wyrobił poczciwcowi ową upragnioną posadę.

Przyszliśmy powinszować mu.

Pierwszym przedmiotem, jaki uderzył nasze oczy była ogromnych rozmiarów miotła oprawna w żelazne skówki. Właściciel jej serdecznie nam dziękował.

— Dzięki wam panowie, nic mi już więcej nie potrzeba; moi zwierzchnicy są ze mnie zadowoleni, spodziewam się wkrótce, że i moję żonę zaciągnę do tego pułku, coby spełniło najgoretsze moje życzenia. Ale.... tu obok mnie mieszkają dwie panie bardzo potrzebujące waszej pomocy, a na nieszczęście nie są one stworzone do miotły.

— Pójdźmy do nich, rzekł Piotr.

— Nie są to ludzie prości, jak ja i moja żona, spotkało ich wielkie nieszczęście. Jedna z nich jest wdową, mąż jej był bogatym jubilerem. Wynalazł maszynę do oddzielania złota i przeszłego roku udał się z nią do Kalifornii; nieszczęście chciało że okręt na którym się puścił, zatonął wraz z ludźmi i ładunkiem. Biedne kobiety dowiedziały się o tem z gazet. Sprzedały wtenczas wszystko co posiadały i przeniosły się do skromniejszego mieszkania. Gdy jednak choroba wdowy pochłonęła wszystkie ich zasoby, zamieszkały w tym domu, a chociaż haftują dniem i nocą, niedostatek przecież wielce im dokucza. Pomimo naszego ubóstwa, żona moja jak może, pomaga im w ich małem gospodarstwie. Nikogo jednak o nic nie proszą, i nie zdaje mi się, aby były skore w przyjęciu pomocy panów. Tem bardziej ubolewamy nad losem biednej wdowy, że ma córeczkę piękną jak aniołek.

Piotr poczerwieniał na myśl, że może był niedyskretnym.

— Poradzimy na to, rzekł. Jak się ta pani nazywa?

— Pani Bourgarde.

— Dziękuję.

We dwa dni później, Piotr co się nigdy nie podejmował lekcyj prywatnych, zobowiązał się przygotować pewnego młodzieńca do egzamin uniwersyteckiego. I tak gorliwie nad nim pracował, iż tenże, nie utrzymawszy się poprzednio kilka razy, obecnie został przyjętym. Tymczasem obadwaj bracia zaczęli wybierać się do Bretanii, przed wyjazdem jednak Piotr wręczył mi 50 franków z prośbą, abym co poniedziałek składał na poczcie miejskiej po 10 franków pod adresem pani Bourgarde, która te pieniądze z wielką radością przyjmowała, jako cząstkową spłatę długu, przynależnego jej mężowi. Nadto zaklinał mnie na wszystko, abym się w ich domu dla uniknienia podejrzeń nigdy nie pokazywał. Prosił przytem, abym przez Petit-Gris wywiadywał się o ich zdrowiu i doniósł mu natychmiast, gdyby która z nich zachorowała.

Mówiłem wam już, że poczciwe i siwe oczy Piotra same już wyrażały tyle szczerości i szlachetności. Żałuję mocno, żem nie zachował listu, który odebrałem od niego w czasie wakacyj; sprawiłby wam wielką przyjemność. Opisywał ze szczerym zachwytem pola ozłocone kłosami, piaszczyste wybrzeża morskie, flotyllę o czerwonych żaglach zajmująca się poławianiem ostryg; wszystko wydało mu się tak nowem po roku niebytności w miejscach rodzinnych.

Co do Pawła, ten strocznie się nudził, wzdychał ciągle do Paryża. Piotr był w swoim żywiole, i czegóż mu było potrzeba? Swoich ukochanych zastał w dobrem zdrowiu, wuj Yvon był tak czerstwy, tak dobrze wyglądał, domek był piękny, łóżko wygodne, a stół tak obficie zastawiony!

„Jedna tylko rzecz nie daje mi spokoju — pisał do mnie w post-scriptum — wyznam ci ją, choćbyś miał żartować ze mnie. Stoją tu pustkami dwa pokoiki, ślicznie umeblowane, świeżuchne; jestem pewny, że wuj ustąpiłby je nawet darmo jakiej uczciwej, a biednej rodzinie; tymczasem gdy na ulicy Traversine, za tak nędzne schronienie płaci się sto franków rocznie.“

Piotr wrócił z wakacyj w październiku i tak świetnie złożył egzamin na licencyjata, że mu zaraz ofiarowano posadę profesora na prowincyi, nie przyjął jej jednak, gdyż nie mógł się odważyć na opuszczenie Paryża.

Od czasu do czasu udzielał mi wiadomości, co się dzieje z biedną rodziną; pani Bourgard zachorowała. Nigdybyście nie wyobrazili sobie, z jaką troskliwością zajmował się niemi Piotr, gdybym wam nie powiedział wielkiej tajemnicy jego młodości.

Piotr nie kochał jeszcze.

Koledzy nigdy nie szczędzili mu przycinków z powodu jego brzydoty, stał się więc do tego stopnia trwożliwym i skromnym, iż uważał się za istnego potwora. Nigdy nie przypuszczał, żeby go kobieta pokochać mogła. Jakże często marzył o czarownicy, któraby za dotknięciem swojej cudownej laski przemieniła go w innego człowieka. W rzeczywistem życiu, przechodząc koło kobiet, miał oczy spuszczone, obawiając się razić je swym wzrokiem.

Gdy stał się nieznanym dobroczyńcą pięknej dziewczyny, poczuł w sercu swojem tkliwe i smętne uczucie. Porównywał się do legendowego bohatera, zasłaniającego twarz swoję, a odkrywającego duszę. Mimowolnie przychodziły mu na myśl słowa owego parii w „Chatce Indyjskiej“: możesz spożyć te owoce, jam się ich nie dotykał.

Przypadkiem spotkał się z panną Bourgarde.

Przyszedł właśnie do Petit-Gris, aby się dowiedzieć o zdrowiu nieszczęśliwej rodziny, gdy weszła Emma, prosząc o ratunek dla matki, która zemdlała. Piotr podążył za innemi. Nazajutrz przyprowadził z pobliskiego szpitala doktora, który oświadczył, iż jedyną przyczyną choroby jest wielkie osłabienie. Zostawiono więc przy chorej żonę poczciwego sąsiada, ta chodziła po lekarstwa, kupowała żywność, i tak umiała się targować, iż prawie wszystko za bezcen jej przychodziło; chora mogła więc mieć i wino i czekoladę. Naturalnie że wszystkich tych cudów był sprawcą Piotr, chociaż nigdy się z tem nie wydawał. Pani Bourgarde widziała w nim tylko uprzejmego sąsiada, była bowiem w tem przekonaniu, iż na tej samej mieszka ulicy. Zwolna przywykła do obecności młodego profesora, okazującego jej tyle delikatnych względów. W swej macierzyńskiej troskliwości niebardzo się miała na baczeniu, uważając go zaledwie za mężczyznę; wnosząc z jego ubrania i nieśmiałości w postępowaniu, przypuszczała, że jest biednym i wielkie dla niego okazywała współczucie.

Pewnego dnia w miesiącu grudniu, podczas bardzo dotkliwego zimna, Piotr przyszedł do nich bardzo lekko ubranym, jedynie w swoim tużurku orzechowego koloru. Postrzegłszy to pani Bourgard, chciała mu ofiarować dziesięć franków, które właśnie tego samego dnia z poczty odebrała.

Piotr nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać, zastawił bowiem owego poranku swoje okrycie dla tych nieszczęśliwych dziesięciu franków. Do takiego stopnia doszła ich zażyłość po miesięcznej ledwie znajomości. Co do Emmy, ta nie poprzestawała na samej słodyczy przyjaźni. Dla niej Piotr był mężczyzną mianowicie w porównaniu z przysadkowatym Petit-Gris

i innemi mieszkańcami ulicy Traversine, znajdowała go nawet przystojnym. Zresztą w siedmnatym roku życia nie miała jeszcze sposobności przyjrzeć się dokładnie rodzajowi ludzkiemu. Nie tylko więc nie zauważyła brzydoty Piotra, ale nie miała też świadomości, że sama była piękną. W całym domu nie widziałeś kawałka zwierciadła.

Pani Bourgarde opowiedziała Piotrowi to, co wiemy po większej części z ust poczciwego Petit-Gris. Mąż jej znajdował się w przykrem położeniu, bo zaledwie był w stanie zaspokoić domowe potrzeby, gdy dowiedział się o odkryciu kopalni złota w Kalifornii. Jako człowiek zastanawiający się, odgadł, że przedmiotem pierwszych poszukiwań będą bryły złota, a zaniedbany zupełnie piasek mieszczący w sobie sproszkowane złoto. Powziął więc myśl, iż byłoby rzeczą bardzo zyskowną zająć się oddzieleniem z owego piasku substancyj złotych. W tym celu zbudował bardzo dowcipną maszynę, którą nazwał od własnego nazwiska *oddzielaczem Bourgarda*. Dla przekonania się w praktyce, jak będzie działała jego maszyna, z 30 gramami sproszkowanego złota zmieszał sto kilogramów zwyczajnego piasku: próba wypadła pomyślnie, złoty piasek wydzielił się prawie w zupełności. Pełen najświetniejszych nadziei, spieniężył swoje mienie, i zapewniwszy rodzinie utrzymanie na sześć miesięcy, sam w imię boże wsiadł w Bordeaux na okręt zwany *Admirałem*, i puścił się do Ameryki.

We dwa miesiące potem *Admirał* zatonął wraz z ludźmi i ładunkiem.

Piotr postanowił zbadać wynalazek nieboszczyka Bourgarda, celem otrzymania stąd jakich korzyści dla jego wdowy i córki. Te z chęcią powierzyły mu zachowane plany i papiery. Piotr z kolei zobowiązał mnie, abym pokazał to pewnemu znajomemu nam studentowi szkoły centralnej.

Narada nie trwała długo.

Młody inżynier po chwili namysłu, rzekł: Jest-to od dawna znany seperator Bourgarda, będący własnością publiczną. Brazylijczycy wyrabiają w Rio-Janeiro do dziesięciu tysięcy rocznie takich maszyn. Czy znasz wynalazcę?

— Zginął w czasie rozbicia okrętu.

— Widziszże maszyna ocalała; drobne wypadki często się trafiają.

Zniechęcony wróciłem do domu, by zdać sprawę z mojego poselstwa. Zastałem obudwóch braci we łzach. Wuj Yvon umarł, tknięty apopleksyją, zapisawszy im cały majątek.

d. n.

ŚLADY ŻYCIA.

LII.

Tyle życia ile w czynie.

Młodsza rzesza kształcącej się młodzieży naszej, nie znalazła tak silnego poparcia finansowego u publiczności, jak starsi jej bracia. A kto wie, czy nie jest ona bardziej od nich potrzebującą; czy zresztą w kraju naszym, gdzie potrzeba najwięcej ludzi średnio wykształconych, tu najsilniejsze poparcie ogółu zwrócić się nie powinno!... Koncert na dochód niezamożnych uczniów gimnazyjum, którego dyrekcyją zajął się znany ze swej szlachetnej i niezmordowanej działalności w tym względzie p. Müncheimer, zebrał znacznie mniejszą liczbę słuchaczów, niż koncert studentów, chociaż nie mówię, żeby sale świeciły pustkami. Prócz dwóch utworów szan. dyrektora, o których już pisaliśmy we wzmiance o jego koncercie, prawdziwą ozdobą programu była piękna uwertura koncertowa pana Zyg. Noskowskiego p. t. *Morskie oko*, wykonana pod dyrekcyją samego kompozytora. Panowie: Fileborn, Cieślewski, Wasilewski, Horbowski i znana już z kilku wystąpień na cele dobroczynne panna Maryja Prylińska amatorka w części wokalnej, młoda utalentowana, pierwszy raz występująca amatorka panna Dulęba w części instrumentalnej, i panna Popiel w części deklamacyjnej, wywiązały się z zadania swego w ogólności bardzo zadawalająco. Chóry i orkiestra były dobrze wyćwiczone. Słowem, p. Müncheimer, poparty jak zwykle znakomitymi siłami artystycznemi, i tą razą nie zawiódł oczekiwania naszego.

* * *

Mamy przed sobą sprawozdanie roczne Zakładu rękodzielniczego dla kobiet z r. 1875. Zastrzegając sobie na później szczegółowe pomówienie o zakładach dla kobiet ograniczamy się na dziś, cyframi i bezpośredniemi wnioskami jakie z nich wyprowadzone być mogą. Otóż w ciągu r. b. pobierało naukę w zakładzie rękodzielniczym 146 uczennic, z których było: 61 miejscowych, 52 z gubernii Królestwa, 31 z Cesarstwa i 2 z Pruss. Panien było 125, mężatek 14, wdów 7. Pomiędzy temi córek: obywateli ziemskich 46, miejskich 11, doktorów i profesorów 8, urzędników 45, kupców i fabrykantów 7, oficyjalistów 8; żon: obywateli ziemskich 4, urzędników 5, kupców 2, inżynierów 3 i nareszcie — wdów: po obywat. ziem. 3, po urzędnikach 4. Z ogólnej liczby uczennic ukończyło kurs całkowity 90, nieukończyło 56, z których jednak tylko 18 opuściło zakład, a 38 pobiera w nim jeszcze naukę. Nareszcie na kurs kroju sukien uczęszczało 84, na kwiaciarstwo 16, introligatorstwo 15, rękawicznictwo 8, krój bielizny 5, buchalteryi 11.

Z liczb tych wyprowadzają się wnioski następujące: 1° że prowincya dostarczyła więcej uczennic (85) w porównaniu z naszem miastem (61), 2° że największej cyfry dostarczyły nasze klassy średnie i intelligentne (córek i żon ob. ziem. 50, urzędn. 50) i 3° że jakkolwiek w roku bieżącym zapisało się mniej uczennic (146) niż w zeszłym (186), to jednak liczba kończących całkowity kurs nauk była w porównaniu z r. 1874 większa o 45%.

Bardzo pouczającym faktem w sprawie fachowego kształcenia kobiet jest wniosek ostatni. Dowodzi on, że sprawa ta przeszła z pola krzykliwej agitacyi, za którem zwykle bujnie krzewią się dobre chęci, na pole czynu, gdzie panuje już tylko tak zachwalana a tak nielubiana przez agitatorów—praca. Ostatnia ta okoliczność usposabia nas do następujących refleksyj.

* * *

Wszelka rzetelna praca ma to do siebie, że przyjaznym okiem spogląda na swoje współpracujące siostrzyce i podając im bratnie dłonie, łączy się zniemi w jedno harmonijne koło, w którem każda z nich jest tylko ogniwem, istniejącem obok innych na równych zupełnie prawach i z równą słusznością. Co innego krzykliwa propaganda. W jej naturze leży egoizm. Hałasem i wrzaskiem stara się ona zwrócić na siebie i tylko na siebie uwagę, a otaczając się do koła gęstą kurzawą reklamy i i upajającym dymem kadzideł, wznieconym przez zapalony orszak wielbicieli, zasłania przed okiem widzów i aktorów sąsiednie dziedziny. Sądzimy więc, że zarówno usypiająca martwota, jak i zadymione powietrze agitacyi są atmosferą zupełnie nie odpowiednią w przybytku organicznej pracy społecznej, która lubi oddychać powietrzem jasnem, czystem i zdrowem. Gdyby kto się z nami spierał, gotowibyśmy wywlec cały arsenał argumentów starych i nowych, a nawet powołać się na najnowszą zasadę przemiany i jedności sił w przyrodzie... Nie o tem jednak chcemy mówić. Powyższe uwagi nastręczyło nam sprawozdanie i do niego jeszcze wracamy, a stosując to cośmy powiedzieli do tego co mamy powiedzieć twierdzimy, że podczas agitacyi w sprawie fachowego kształcenia kobiet inne działy pracy kobiecej, a mianowicie praca jej około domu, leżała odłogiem. A przecież i ta praca ma swoje poważne zadania, od których rozumnego wypełnienia zależy pomyślność i szczęście nietylko jednostek ale i całych społeczeństw. Nie chcemy nowej agitacyi, sądzimy bowiem, że praca około domu jej nie wymaga, pragniemy tylko jej równouprawnienia obok rozumnie pojętej i prowadzonej pracy kobiecej na polu społecznem i dla tego sympatycznie witamy następujące wykłady teoretyczne nauk, które zakład rękodzielniczy otworzył dla kobiet, a o których w sprawozdaniu czytamy. Wykłady te są następujące: 1) gospodarstwa domowego, 2) wiejskiego, 3) ogrodownictwa i 4) higijeny. Wykłady nawet na kursie nauki gospodarstwa domowego rozpoczął już w zeszłym tygodniu p. Edward Przewóski, wychowaniec tutejszego uniwersytetu a program tego wykładu jest następujący: Niektóre wiadomości z fizyjologii, pokarmy i ich znaczenie dla organizmu, o wpływie światła, powietrza, ciepła i moralnego otoczenia; mieszkanie. Niektóre wiadomości z nauki gospodarstwa społecznego. Zasoby domowe, urządzenie i zarząd domowy; rachunki. Dodatkowe wiadomości o o stowarzyszeniach spożywczych, kasach oszczędności i ubezpieczeniach na życie, niektóre dane statystyczne, przepisy prawodawcze o małoletnich, o małżeństwie i prawo spadkowe. Jakkolwiek p. Przewóski jest współpracownikiem naszego pisma, to jednak sądzimy iż nie robiąc reklamy możemy polecić uwadze naszych czytelniczek wykłady potrącające o tak ważną sprawę, jak gospodarstwo domowe i traktowane w tak szerokim zakresie.

* * *

W tych dniach opuszcza prasę *Rocznik literacki* za rok 1874, poczem niezadługo wyjdzie i nowy tom za rok 1875. Opóźnione to wydawnictwo, po należytem zorganizowaniu redakcyi, w dalszym ciągu nie będzie już ulegało żadnej zwłoce. Postara się zarazem redakcyja o zaprowadzenie wszelkich możebnych ulepszeń, aby pożyteczna ta publikacyja stanęła na wysokości zadania swojego, to jest przedstawiała wierny obraz literacko-umysłowego ruchu w społeczeństwie naszem.

* * *

Projekt towarzystwa dobroczynności dla wszystkich wyznań w Kaliszu, został opracowany przez pp. Milewskiego i Parczewskiego. Główne cechy tej ustawy, jak zapewnia „Kaliszanin“ korzystnie wyróżniające ją od warszawskiej, zasadzają się:

1) na zupełnem zniesieniu żebractwa ulicznego;

2) na zaprowadzeniu zupełnej jawności w działaniach zarządu;

3) na przypuszczeniu do współudziału ludzi nieposzlakowanych, bez różnicy płci i wyznania; — oraz 4) na wprowadzeniu nowego systemu: wskazania zarobku i zużytkowania wszelkiej pracy i zdolności ubogich, ku ich własnej korzyści, i t. p.

* * *

Kassa pożyczkowa przemysłowców warszawskich, instytucyja, która dzięki wzorowemu zarządowi, rozwija się nad wszelki wyraz pomyślnie, ma jak dowiadujemy się z dobrego źródła pootwierać oddziały swoje w niektórych większych miastach królestwa.

* * *

Zakłady górnicze Chlewiskie, jedne z większych w kraju naszym, będące dotychczas własnością hr. Sołtyka, przeszły w posiadanie p. Narzymskiego za sumę rs. 850,000.

P. Narzymski odbył kursa inżynierskie górnicze w Gandawie, jako więc specyjalista, podniesie niewątpliwie zakłady, na czem zyska krajowy przemysł górniczy.

* * *

Wydany w tych dniach „Kalendarzyk dla dzieci“ na r. 1876 jako sympatyczna i pożyteczna książeczka, powinien znaleść szczere pomiędzy dziatwą polską przyjęcie. Kalendarzyk ten na rok jeszcze 1850, przygotowany przez ś. p. Stanisława Jachowicza, z powodu ówczesnych praw stemplowych, utrudniających podobne wydawnictwa, spoczywał dotąd w rękopismie. Syn nieodżałowanego bajkopisarza pan Eryk Jachowicz, wznawiając myśl poczciwą ojca, wydał go obecnie na widok publiczny, dodając doń tylko właściwą część kalendarzową na rok 1876 i portrecik ś. p. Stanisława.

* * *

Dnia 27 b. m. to jest w trzeci dzień Świąt Bożego Narodzenia, o godzinie $7\frac{1}{2}$, odbędzie się w sali Doliny Szwajcarskiej *trzecie* i *ostatnie* przedstawienie amatorskie na rzecz szkółki elementarnej przy ulicy Pańskiej.

Program przedstawienia składają: Obrazek dramatyczny „Panny Konopianki.“ Komedyja w jednym akcie „On nie zazdrosny“ i obrazek wiejski Wł. Lud. Anczyca „Łobzowianie.“ Na zakończenie widowiska mazur odtańczonym zostanie.

* * *

Czytelnicy nasi nie wezmą nam za złe zapewne, że podzielimy się z niemi kilkoma wymownemi faktami, zebranemi z życia klas niezamożnych, a malującemi wyraźnie dzieje ich doli i niedoli. Jest to już znanym faktem, że kapitał, ów potężny czynnik życia społecznej gromady, bardzo niejednostajnie krąży po jej zbolałym organizmie. W tych warstwach, które podniosły się wyżej i korzystają z dobrodziejstw oświaty i kultury znajdziecie go łatwo, kredyt macie ułatwiony a stopa procentu wcale umiarkowana. Co innego wśród tych dalszych pokładów, gdzie szara mgła ciemnoty kryje bolesne obrazy nędzy i przykrego z nią szamotania się. Kapitał, ulubieniec światła i ruchu niechętnie odwiedza te cuchnące podziemia, a jeśli i da się do tego namówić, to drogo trzeba opłacić tę fatygę. Podczas, gdy kapitał pożyczany tak zwanym kapitalistom wymaga nie więcej nad 10% mniej więcej, to tutaj nie wstydzi się on żądać po 100 i 200%. Nazywa się to lichwą, a jakie skutki za sobą ona pociąga przewidzieć nie trudno. Wypożyczony na tak wysoki procent kapitał pochłania następnie całą chudobę biedaka, domowa zagroda idzie na sprzedaż, a jej właściciela oczekuje żebraczy kij, przykra to dola. Co ją może osłodzić. Ha, zadaleko zaprowadziłoby to nas, gdybyśmy się wzięli do pisania recept. Na teraz jednak wspomniemy tylko, że oświata, o ile można ułatwiony kredyt i oszczędne a trzeźwe życie, mogą stawiać pewną tamę temu potokowi zła.

* * *

Przyjrzyjmy się obu stronom obrazu. Lichwa obecnie jak straszny mór szerzy się w sąsiedniej Galicyi, powiewając swą skrwawioną chustką nad chatą włościanina. Oto fakta przedstawione przez niestrudzonego trybuna Dr. Rydzowskiego na posiedzeniu wiedeńskiej rady państwa. Na 6,371 miejscowości Galicyi ogłoszono w r. 1867, licząc w to tylko posiadłości włościańskie w 130 wiejskich osadach 164 licytacyj. W roku jednak 1874 dokonano w 633 miejscowościach 1,026 licytacyj. Cyfry same są aż nadto wymowne, a pan Rydzowski wyciąga z nich taki wniosek, że jeżeli tak dalej potrwa to po latach 13 nastąpi powszechne wywłaszczenie ludu z roli... Rada państwa proponuje zakładanie kas zaliczkowych i instytucyj hypotecznych. Co jest rzeczą bez wątpienia dobrą, potrzebne jednak są i inne środki bezpośrednio zmierzające ku ograniczeniu lichwy, ale to już rzecz naszych galicyjskich sąsiadów, dla których sprawa po dobna obojętną być nie powinna. My zaś spieszymy zanotować radośniejsze fakta jako pendant do tych ciemnych obrazów. W Poznańskiem projektują instytucyję kredytową dla małych posiadaczy ziemskich, mając nadzieję wydobyć od rządu 200,000 talarów na jej założenie. W Krotoszynie zaś odbył się bardzo pocieszający sejmik zjednoczonych spółek zarobkowych. Z 79 spółek z Wielkiego księstwa, Prus Zachodnich i jednej z Szląska było reprezentowanych 20 a pomiędzy ciekawszemi przedmiotami porządku dziennego był odczyt dra Rakowicza „o depozytach i oszczędnościach.“ Prelegent starał się przekonać słuchaczów o wielkiej doniosłości jaką gra oszczędność i odpowiednie instytucyje w życiu niezamożnego człowieka.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Obraz świata roślinnego. Przez autorkę Wieczorów Czwartkowych. Warszawa 1875 r.

W barwnych bardzo wyrazach dając przedewszystkiem ogólne pojęcie o roślinach, kreśli autorka ich różnicę od zwierząt, i zaznacza niemożliwość przeprowadzenia pomiędzy niemi stałej granicy, a następnie mówi o głównym podziale roślin, o przyjmowaniu przez nie pokarmów, o komórkach, naczyniach, przetchlinkach i organach, poczem rozpoczyna właściwą część opisową. Na poezyją jednak, fizyjologiją i anatomiją 36 str., to trochę za mało, szczególniej zaś za mało na tę ostatnią część botaniki; więc też pominęła autorka we wstępie wiele wydatnych szczegółów, których brak w dalszym ciągu przy opisie roślin dotkliwie uczuć się daje.

Na pięciu też tylko kartkach, zarysowano kontury obszernego działu roślin skrytokwiatowych, tu więc znowu ten sam zarzut zbytecznej pobieżności postawić musimy. „Roztrzepana główka,“ która nie widziała ani jednej rośliny skrytokwiatowej, po przeczytaniu owych kilku kartek, nie będzie miała o niej najmniejszego pojęcia, a łatwo było temu zaradzić, i przez bardziej szczegółowe opisy, przez umieszczenie rysunków choćby tylko ważniejszych skrytokwiatowych. Opis takich naprzykład roślinek, jak śnieć, głównia i t. d. sprowadzających choroby zboża, kartofli lub wina, byłby nawet ciekawym i bardzo zajmującym. Kiedyśmy zawadzili o rysunki, niechże wolno będzie uczynić na ten temat jeszcze dwa zarzuty. Rysunki w tekscie są bardzo piękne i dają dokładne pojęcie o kształtach roślin, ale cóż kiedy nie naszych, lecz cudzych, jakichś zamorskich roślin z któremi prawie żadna z czytelniczek młodych nie będzie miała spotkać się sposobności. Na co mamy szukać za morzami, jakichś dziwnych, cudnych roślin, kiedy tuż pod ręką mamy bardzo piękne, i bardziej dla nas godne uwagi. Coby to było uciechy i pożytku, gdyby jaka „roztrzepana główka“ wybiegłszy do lasku, lub bujając po zielonym błoniu, mogła poznać roślinę jaką na rysunku widziała.... Drugi zarzut odnosi się do braku rysunków anatomicznych przy samych opisach i porównywaniu gatunków. Zestawienie takiego rysunku z opisem wielkieby przyniosło ułatwienie w poznawaniu roślin, a sam tych ostatnich wizerunek łatwiejby się zatrzymał w pamięci.

Oprócz tych ważniejszych przekroczeń, nie brak u autorki i innego rodzaju usterek. Tak naprzykład, na str. 234, Zimoziół północny temi jest opisany słowy:

„Do wiciokrzewów, zaliczają także ładną drobną krzewinkę, zawsze zieloną, którą *często* napotkać można pomiędzy mchem w cienistych lasach sosnowych.“ Na orzeczenie powyższe

zgodzić się trudno. Znakomici nasi badacze natury, Waga i Jastrzębowski przeszli cały kraj kilka razy i zaledwie w Augustowskiem roślinę wymienioną znaleźli. Nie jest więc ona tak *częstą* i nie w każdym *cienistym* lesie sosnowym odszukać ją można, musi owszem być dość osobliwą i rzadką, kiedy znalezienie jej u nas stało się aż przyczyną poróżnienia tych dwu przyrodoznawców. Takich niedokładności kilkaby przytoczyć było można. Nie zawsze też autorka zważa na dobór wyrazów i budowę zdań, z czego wypływają wieloznaczniki i wątpliwe określenia. Tak, nie wszystkie rośliny wodne są wodorostami, nie wszystkie znów polipy wód słodkich zwą się hydrami. Na str. 11 czytamy: „Takim pierwiastkiem jest naprzykład czysty węgiel, a także złoto, srebro, i wszystkie metale.“ Ten okres takby sobie można wytłómaczyć: 1° że ani złoto, ani srebro nie jest metalem, 2° że takie metale, jak stal, śpiż, mosiądz, bronz są pierwiastkami a chociaż oba te objaśnienia będą błędne, ale będą jednak możliwe.

Pominąwszy wszystkie zresztą, tym podobne, usterki, wyznać musimy, że autorka znakomicie potrafi korzystać z nagromadzonego materyjału naukowego. Znajdą się tam wyjątki z Wagi, Schödlera i innych autorów, umiejętnie przedstawione, poprzeplatane, to wdzięcznym opowiadaniem, to pięknym pełnym poezyi opisem, tak że w rezultacie wychodzi pięknie zaokrąglona całość, piękne dziełko, które śmiało zaliczać się może do szacownych ozdób każdej biblijoteczki domowej. W dziełku tym kierowniczki wychowania znajdą obfity, ciekawy materyjał do gawęd z młodszą dziatwą, a „roztrzepane główki“ znajdą w nim pięknie skreślony obraz świata roślinnego.

Przyznać trzeba, że nie łatwem jest to zadaniem, przedstawić opis kilkudziesięciu roślin tak, aby nie znudzić lecz zaciekawić młode czytelniczki. „To już moja rzecz, mówi autorka, tak się dopilnować, ażeby was zająć i zabawić,“ i rzeczywiście udało się jej zupełnie. Gdziekolwiek zaczniemy czytać, oderwać się będzie trudno. Wykład prowadzony jest jasno i zajmująco nad wyraz.

Tu autorka rozprawiając o życiu roślin mimochodem zawadzi o chemiję, wypłynie na morze Czerwone, tam wspomni o Koperniku, lub też gawędzi o podróżniku, umierającym z pragnienia i znajdującym wodę w liściach rośliny, a wszystko to jest splecione misternie i wielce dopomaga do dopięcia zamierzonego celu. Z książki tej młode czytelniczki dowiedzą się, jakie to cuda dzieją się na ziemi, co za dziwne i ciekawe rośliny ją zamieszkują, poznają, co to takiego kawa, herbata, bawełna i t. d. Usłyszą czytelniczki z dokładnych opisów o Nurzańcu śrubowym, tyle opiewanym przez poetów, który dla podtrzymania swego rodu śmierć szczytną ponosi. Wyborne rysunki dadzą wyobrażenie o kształtach ciekawego dzbanecznika, dziwnej Welwiczyi, dopomogą poznać odrażającą Rafflesią lub słynną ogromem Welingtoniją, słowem „roztrzepane główki“ wiele, wiele bardzo z tej książki skorzystać mogą, i dla tego też dziełko to szczerze im zalecamy.

Br. Ławlewski.

ROZMAITOŚCI.

— Wicekról Egiptu wraz z swym synem Mehmet-Tevfik paszą, domyślnym następcą tronu, wybiera się wkrótce w podróż do Paryża i Londynu.

Książe Walii odbywa w dalszym ciągu podróż po Indyjach Wschodnich. Dnia 13go b. m. przybył on do Madrasu, gdzie świetnie był przyjmowany przez znaczną liczbę książąt indyjskich i liczny tłum ludu.

— Firman z 14-go grudnia rozwijając irade sułtańskie z dnia 2-go października, wyszczególnia ulepszenia w administracyi i prawnem położeniu obywateli państwa tureckiego, które mają zapewnić pomyślniejszy los nie tylko Bośniakom i Hercegowińcom, ale całej ludności chrześcijańskiej w Turcyi.

Przyrzeczone reformy odnoszą się do całego państwa, do wszystkich chrześcijan w państwie zamieszkałych.

Ustępstwa te są liczne i obszerny mają zakres. Na czele ich znajduje się nowa organizacyja sądów, postanowiona jeszcze na dnia 9 grudnia. Turcyja otrzymuje sąd najwyższy, na całe państwo. Obok niego istnieć będzie sąd apelacyjny i kassacyjny. Po prowincyjach znajdować się będą sądy pierwszej instancyi; kraj obdzielony niemi będzie, stosownie do potrzeby pojedyńczych okręgów. Wszyscy poddani Porty bez różnicy wyznań wybierają wszystkich także bez różnicy wyznań członków kolegijów sądowych. Toż samo ma miejsce z wyborami do rad prowincyjonalnych administracyjnych, które zapowiedziane zostały przez irade październikowe.

Zniesioną została zupełnie władza sądów duchownych i innych mahometańskich we wszelkich sporach do których wpływają chrześcijanie. Każdy chrześcijanin ma prawo domagać się sądu normalnego ustanowionego przez firman. Nikt w więzieniu trzymany być nie może bez wyroku, a Porta nie pozwoli na złe obchodzenie się z więźniami prawnie osadzonemi.

Ludność uwolnioną będzie od podatków uciążliwych. Nastąpi reforma ujednostajniająca cały porządek opodatkowania i wprowadzająca sprawiedliwy, zastosowany do zamożności rozdział podatków. Tymczasowy dodatek 25% od dziesięciny jak już poprzednio tak i nadal uważać się będzie za prawnie nieistniejący, nikt nie ma obowiązków go płacić.

Żandarmi (zaptje) wybierani będą z pomiędzy najlepszych mieszkańców danej miejscowości.

Znosi się pańszczyzna, a wszelkie szarwarki ściśle określone i w wysokości swej oznaczone będą.

Dla podniesienia rolnictwa, przemysłu i handlu, zasięgnie Porta rady ludzi specyjalnie wykształconych i co potrzeba przedsięweźmie.

Władza patryjarchów zostaje na nowo uroczyście potwierdzoną. Wszyscy zwierzchnicy duchowni w całem państwie będą mogli swobodnie sprawami swych wyznań zawiadywać. Kościoły i szkoły będą miały przyznane sobie wszelkie możliwe ulgi.

Wszystkim poddanym nadaje firman na równi z mahometanami prawo do zajmowania wszelkich urzędów wszelkich stopni (ministra i wezyra?).

Opłata za uwolnienie od służby wojskowej ustanowioną będzie według stopnia osobistej zamożności każdego. Dla nie muzułmanów wyniesie ona tylko połowę tego, co obowiązani będą płacić muzułmanie. Kto do służby wcale zdatnym nie jest, od tego władze żadnych opłat ściągać nie będą mogły.

Dla obwarowania własności prywatnej, zostaną wzmocnione tytuły do rzeczy nieruchomych. Każdy we wszystkich prowincyjach państwa będzie mógł nabywać własność nieruchomą ziemską. Rozporządzenia testamentowe będą szanowane.

Atrybucyje gubernatorów i innych wyższych urzędników zostaną ograniczone.

Firman pozwala zanosić do Porty wszelkie sprawiedliwe żądania i zażalenia i jedynie tylko nadużywający tego prawa pociągani być mogą do odpowiedzialności.

Takie są reformy, potrzeba tylko rękojmi, że litera prawa nie zostanie martwą, lecz się w żywe czyny zamieni. Jak te rękojmie uzyskać i jak je skutecznie wykonywać, takie powinno być teraz zadanie dyplomacyi, jeżeli dyplomacyja niema żadnych dalszych utajonych zamiarów i chce tylko widzieć los chrześcijan polepszonym, bez rozbierania państwa tureckiego.

Ze swej strony Porta ustanawia przy wezyrze osobną komisyję, która wszystkie te reformy w życie ma wprowadzić.

OD REDAKCYI.

W nadchodzącym roku 1876, **„Opiekun Domowy“** wychodzić będzie pod tą samą redakcyją, w tym samym zakresie i duchu, jak dotąd.

Celem uniknienia zwłoki w odbiorze pierwszych numerów z przyszłego kwartału, upraszamy Prenumeratorów tak dawniejszych, jako też nowo pragnących zapisać się, o jak najśpieszniejsze nadsełanie zamówień; od tego bowiem zależy możność uczynienia zadosyć wszystkim żądaniom.

Zarazem zwracamy uwagę Szan. Prenumeratorów z prowincyi, że opierając się na dotychczasowem doświadczeniu, jako najdogodniejszą i najpewniejszą drogę odnawiania przedpłaty zalecić możemy jedynie przesełanie takowej bez niczyjego pośrednictwa, wprost do kantoru drukarni J. Korzeniewskiego, ulica St-Jerska Nr. 12.

Przedpłata wynosi

w WARSZAWIE:

Rocznie	Rsr.	6	kop.	—
Półrocznie	„	3	„	—
Kwartalnie	„	1	„	50
Miesięcznie	„	—	„	50

na PROWINCYI i w CESARSTWIE:

Rocznie	Rsr.	8
Półrocznie	„	4
Kwartalnie	„	2

Prenumeratorzy nadsyłający kop. 20 mieć będą przesłany kalendarz **„Nadwiślanin“** na rok 1876. Przesyłający należność za tuzin rs. 1 kop. 80 kosztów przesyłki nie ponoszą.

Дозволено Цензурою. Варшава 11 (23) Декабря 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor H. Perzyński.